



CZARNA PERŁKA.

POWIEŚĆ

PRZEZ B. BOLESŁAWITĘ.

(CIAĞ DALSZY.)

Lord Henryk był pięknym bardzo, choć nieco na pozór za pedancko zimnym młodzieńcem; miał wszystkie wady prototypu, wiele jego przymiotów, a z polskich tradycyí wielką tylko charakteru szlachetność i głębokie przekonanie, że należał do z łaski bożej naznaczonych narodowi wodzów i mistrzów. Widać w nim było, że się czuł uciosanym z tego materiału, z którego królów dawniej robiono.

Znany z tej wyłączości swej lord, że rzadko do... nieurodzonych mówić nawet raczył, zdziwił wszystkich swem zajęciem sierotą. Naprzód przez pół wieczora stał w kole otaczającym ją, z palcem w kieszeni od kamizelki, z oczyma wlepionemi w boginią, nie mówiąc ani słoweczka. Słuchał. Ci, co go znali, dziwili się wytrwałości na stanowisku, nie milczeniu, bo lord rzadko mówił i ożywiał się, ale rzadziej jeszcze przedmiot jaki uznawał godnym tak długiego i wytrwałego badania; kilka razy ktoś do niego coś zagadał, potrząsał tylko głową, nie odpowiadając nic—słuchał. Trwało to dobrą godzinę. Jeżeli grupa, w której była Lenora, przesunęła się nieco na inne miejsce, jeżeli ona się przeszła, Lord posuwał się za nią, stawał z palcem w kamizelce, i jak posąg nieruchomy — słuchał. Po niej jakim czasie krokiem statuy komandora w Don Juanie posunął się do Laury, i pochylił się nieco ku niej.

— Pani mnie zechce zaprezentować pannie Lenorze Zara.

— O! z największą przyjemnością.

Sierota mówiła z dwiema panienkami o czemś obojętnem, gdy wobec wszystkich nader uroczyście został jej przedstawiony Lord. Obyczajem swym nie kłaniając się, schylił tylko głowę, podniósł ją, i jako urzędownie już znajomy rozpoczął rozmowę od zapytania, czy umie po angielsku...

Lenora, która miała guwernantkę angielską, mówiła tym językiem z łatwością; lord rozpoczął więc z wielką przyjemnością... najczystszą angielszczyzną rozmowę swobodną i poważną. Poczęli chodzić po salonie wobec świadków i mówili tak z sobą dobrą godzinę. Wywarło to wrażenie niezmierne, bo lord rzadko z paniami mówić raczył, a dłużej z jedną z nich pogadanki nie przypominano sobie. Przy tem na twarzy jego malowało się takie rozpromienienie i zadowolenie, jakby dopiero teraz znalazł to, czego całe życie szukał.

Ta scena dobiła hrabinę i Alfreda. Alfred miał cześć wielką dla lorda, hrabina nienawidząc jego rodziny, zmuszoną była ją szanować... słabo się jej zrobiło... wstała... Alfred chwycił kapelusz. Laura odprowadziła ich do progu sieni, śmiejąc się, żartując, dziękując, trzpiocąc, choć pochód ten był prawdziwym konduktem. Szanowna Pyza wyszła tak straszliwie zmęczona odbytem męczeństwem, że w powozie syn z razu o nią był niespokojny... słowa przemówić nie mogła...

W salonie rozmowa z lordem przedłużała się.

— Dla czego pani tak mało bywasz w towarzystwach? ja ją tu pierwszy raz spotykam — rzekł anglik.

— Czy hrabia wiesz, kto ja jestem? — spytała śmiało Lenora. — Powiedziano moje nazwisko, ale ono nic nie mówi. Mój los mnie tłumaczy. Należę do tych istot declassées, które powierzchownie należą do świata waszego, a w istocie są wydziedziczone i obce wszystkim... Jestem sierotą, pochodzenie moje nieznane... Wśród towarzystwa, jak dzisiejsze, goszczę przypadkiem jak ptak burzą zagnany... jutro odlecieć potrzeba.

— To szkoda — westchnął lord — nie ma arystokratyczniejszego narodu nad angielski... w nim arystokracja jest, można rzec, instytucją narodową, a przecież tam wyjątkowe istoty, jak pani, mają prawo do największych dystynkcji.

— Dziękuję hrabiemu, ale ja się nie czuję wyjątkiem, raczej bardzo pospolitem stworzeniem, któremu nieszczęście dało siły... Opatrzność zysła je odrzuconym, aby się czem bronić mieli.

Lord westchnął, popatrzał.

— Wiesz pani — rzekł — ja jestem śmiesznie otwarty, proszę to policzyć na karb ekscentryczności narodu, którego jestem wychowawcą; z tą otwartością nieco dziwną muszę jej wyznać, że od pobytu w Anglii nie spotkałem tu nikogo, czyjaby rozmowa większą mi sprawiła przyjemność; przepraszam jeźliż znudził... ale gdzież panią spotkać można?

Lenora pobladała, stanęła.

— Rzadko gdzie — rzekła — nie bywam prawie nigdzie. Od śmierci wojewodziny jestem pustelnicą.

Lord się skłonił, tym samym krokiem, którym chodził po salonie, poszedł do gospodyni i siadł przy niej.

— Zkądże pani ten fenomen wydobyła — rzekł bawiąc się rzemykiem, który mu służył za dewizkę od zegarka.

— A prawda, że fenomen! — uszczęśliwiona zawołała Laura — to moja najdroższa sierotka. A prawda, że śliczna, że miła, że utalentowana.

— Co za takt! co za przedziwna maniera... jaka powaga — rzekł lord — Ale godziź się, by osoba tak znakomita, zakopana marniała?

Laura popatrzyła nań z uśmiechem.

— Wystawże sobie hrabio, że z tą znakomitą, jak ją słusznie zowiesz osobą, hrabina i jej syn obeszlą się jak najnielitościwiej po śmierci opiekunki, że ją pozbawili legatu... wypchnęli z domu, choć staruszka ją była zaręczyła z Alfredem... Teraz żyje z pracy rąk...

Lord ruszył ramionami... wyrwało mu się... Shoking.

— Żeby nie ja... ale nie chcę się chwalić — dokończyła Laura. — Dowiedziałam się o mieszkaniu, wyrwałam ją gwałtem z niego, i przyznam się, żem bardzo rada, iż

los sprowadził tu za karę hrabinę, aby była świadkiem jej tryumfu...

— Bardzo znakomita osoba! — powtarzał lord — bardzo dystygowana, mogłaby śmiało na salonach królowej Wiktorii figurować. Dziwne są losy ludzi... a tyle naszych panien... No...

Wstał, podał rękę gospodyni, i zwolna, skłoniwszy się po drodze z wielkim uszanowaniem Lenorze, która mu dosyć chłodno ukłon oddała... odszedł.

Laura poleciała do swej perełki.

— Kochanie! podbiłaś prowincją, która jeszcze nigdy podbitą nie była... tryumfuj... ale mnie podziękuj. Hrabina dostanie febrę lub żółtaczkę... a ty! ha? któż wie...

I uściśnęła ją najczulej...

Nieboszczka wojewodzina, której była wychowanicą Lenora, mieszkała część roku w Warszawie, drugą na wsi, a rezydencja jej, którą teraz odziedziczyli siostra z synem swym... była jedną z najpiękniejszych w kraju. Winna ona była położeniu swemu za rzekami, w pośród odwiecznych lasów to, że rzadko jej kłęski wojny osiągnąć mogły, i że uchowała się zdobiąc i przerabiając od XVI. w. do naszych czasów.

Niewiele takich dworów spotyka się w Królestwie... zamki leżą w ruinach, pałace stoją pustkami, drewniane dwory poobalały się i popaliły, mało ostało się murowanych, bo też ich i niewiele było. Miano u nas to powszechne przekonanie, że drewniane, dobrze opatrzone budowy, są najzdrowsze do mieszkania; szlachcie i pan najczęściej stawiał sobie, jeźli nie mógł z modrzewia, to z najpiękniejszych sosen i dębów dwór, co często przetrwać miał wieki.

Gdzienigdzie tylko murowano z kamienia i cegły; taki był właśnie ów teraz pałacem zwany dwór ogromny, niekształtny, ale teraz przyozdobiony i podobny do angielskiego cottagée magnata, dwór w Muranowie. Otaczały go szpalery, ulice lipowe, drzewa odwieczne, rzeka... wyglądał na zaczarowane gniazdo spokoju i ciszy.

I był też takim za czasów wojewodziny, kobiety dobrej aż do słabości, a kochającej ten kąt rodzinny nad wyraz wszelki. Ale po jej śmierci stał się pustką i grobem. Starzy słudzy chodzili płacząc i truchlejąc nad swym losem, bo choć im testament zapewniła umierając staruszka dożywocie, i domy i pensje, ale znali hrabinę i wiedzieli, czego się spodziewać po niej byli powinni. Żadna komisja likwidacyjna i urządzająca nie bada surowiej podejrzanych, jak plenipotenci hrabiny jej sługi i dożywotników. Przechylnie zwiększył się jeszcze, gdy jednego dnia niespodzianie powóz zaszedł przed dwór i dowiedziano się, że hrabia Alfred nadjechał.

Po co? Odgadywano łatwo, że myślał tu zapewne

nowy zaprowadzać porządek. Ludziom, co jeszcze od czasów świętej pani, jak zwano wojewodzinę, zachowywali tu wszystko z poszanowaniem bałwochwalczem, jakby nieboszczka jeszcze tu powrócić miała, pewnie zarówno żał było siebie samych i tych pamiątek przeszłości, które fantazyja nowych dziedziców, choćby dla okazania swej potęgi, pewnie już zamierzała zburzyć. Tak się domyślano!

Ciekawość była niezmierna, popłoch wielki... oczekiwano trwożliwie skutków, boć hrabia Alfred darmoby nie przyjechał.

Następnego dnia nie zaszło nic nowego, oprócz że powoływano ludzi dworskich, a jaśnie pan rozpytywał ich o najrozmaitsze wypadki przeszłości, o wojewodzinę, jej życie, sposób gospodarowania, rządzenia się, użytkowania z dochodów.

Ta indagacya dla wszystkich była niesłychanie ciężką, gdyż ani jeden ze sług starych nie czuł się powołanym do pokochania nowego dziedzica kosztem nieboszczki i oskarżania jej, czego on właśnie zdawał się sobie życzyć i wywoływać pytaniami. Z kolei przeszli tak przez badanie prawie wszyscy znajdujący się w Muranowie; każdy wychodził uznojony, zmieszany, rachując się trwożliwie z sumieniem, czyli co zanadto lub niezgrabnie nie wygadał niepotrzebnie.

Po innych przyszła kolej na staruszczkę, rówieśnicę wojewodziny, jej sługę od lat dziecięcych, można powiedzieć przyjaciółkę, pannę Łowczankę Adalbertę. Miała ona jeszcze za życia swej pani najformalniej sobie zapisany dworek z ogrodem na dziedzictwo i pewną sumkę na Muranowie, z której procentu się utrzymywała. Panna Łowczanka liczyła sobie lat siedmdziesiąt kilka, chociaż może była starszą; zdziecinniała była zupełnie, terażniejszości nie pojmowała i nie pamiętała, wypadki tylko młodości żywo jej były przytomne, i chwilami o nich z zadziwiającą drobnostkowością rozповідаła. Od śmierci wojewodziny wiele straciła na zdrowiu i siłach... a całe dni prawie opłakiwała ją prosząc Boga, aby się z nią co rychlej połączyć mogła.

Hrabia Alfred zrazu chciał ją kazać prosić do siebie, ale się przekonał, że staruszcze po zimnie kazać iść do siebie, było okrucieństwem i niemożliwością. Zrzuciwszy więc trochę pychy z serca, sam poszedł do jej dworku. Smutno tam było jak w grobie, staruszka w mocno napałonej izdebce siedziała ostawiona poduszkami w fotelu, z nogami na stołeczku i nieodstępna siostrzeniczką, która jej to tabakierkę, to chustkę, to okulary, to książkę, to wodę nieustannie podawać i odbierać musiała. Silny zapach rumianku rozchodził się po pokoiku... Przy piecu spały dwa ogromne koty. Mnóstwo pamiątek po drogiej pani otaczało staruszkę, która płakała ciągle, szukając zřeczności, by mówić o niej ciągle.

Nim pan Alfred nadszedł jeszcze, wbiegł kamerdyner, pan Franciszek, szybko oznajmując go.

— Panno Łowczanko dobrodziejko! — zawołał jej nad uchem, przyjdzie tu hrabia Alfred.

— No, to niech sobie przyjdzie.

— Ale panna Łowczanka... jeżeli on zechce rozpytać, jeżeli będzie badać, nie bardzo mu wiele mów. Bóg ich wie, co oni w tem za cel mają! a każdego badają, że zdaje się, szpikuby z niego dobyć chcieli.

— Albo to my mamy się z czem kryć? czy to święta nasza pani, albo kto z nas co uchowaj Boże popełnił? Cały świat może wiedzieć o tem, co się jej i nas tyczy.

— Ale panno Łowczanko... po co to!

— Dajże mi waćpan już pokój... Basia, daj mi tabaki! Kota zsadź, chce wyjść... połóż książkę na stoliku! Nie tak! że nigdy porządnie nie zrobisz.

Pan Franciszek odszedł wzdychając... toż zaraz wsunął się pan Alfred, prychając na zapachy rumianku, tabaki, przygrzewanego w piecu rosolu i kotów. Panna Łowczanka powitała go poważnie i przypomniała mu wojewodzinę, którą mimowolnie długiem z nią pożyciem naśladować się nauczyła.

— Jakże się ma panna Łowczanka? — zapytał grzecznie.

— Bardzo dziękuję — at, jak stara... siedmdziesiąt ośm lat kawęczę... oczy wypłakuję po mojej świętej pani... ale co było, nie powróci, darmo.

I chustką oczy zakryła...

— Nie brak też czego pannie Łowczance? — przypochlebiając się dodał Alfred.

— Dziękuję! a cóż mi tam tak wielkiego potrzeba oprócz ciepłego kąta. Straciłam apetyt! Basia! wynieście tego kota, bo piszczy.

— Moja panno Łowczanko dobrodziejko — rzekł po wyjściu Basi, przysuwając się do niej Alfred — dla uregulowania interesów i poszanowania woli pani wojewodziny potrzebujemy wiele wiadomości... Wiemy, że ich u nikogo właściwiej szukać nie możemy, jak u pani... która miałaś całe zaufanie nieboszczki.

— A! tak! tak! święta pani! ona wiedziała, że ja jej więcej, niż swojego strzegłam, u mnie były klucze, kasa, rejestra, póki miałam oczy.

— Proszę też Łowczanki, czy panna dobrodziejka nie wie, komu wojewodzina oddała ten kosztowny kanak familijny, który na krocie ceniono?

Panna Adalberta oczy podniosła blade i spojrzała na mówiącego, na chwilę zamilkła... zdawała się namyślać.

— Kanak! ale ja o żadnym nie wiem! nie pamiętam go! nie pamiętam!

— Mówiono, że oddała go pannie Lenorze.

— Pannie Lenci? no, nie wiem... ale ja o nim nie słyszałam...

— Nicby nie było ani dziwnego, ani złego — dodał Alfred — my tylko nie możemy się dopytać, co się z nim

właściwie stało, i dla tego chcielibyśmy się coś dowiedzieć.

Staruszka głową kiwała... Nie wiem! no, nie wiem o żadnym kanaku... a jeszcze tak drogim!

— Trzeba przyznać — mówił Alfred jakby odwracając rozmowę — że przywiązanie ciotki do panny Lenory było bardzo żywe...

— A czemuż to się dziwować?—wyjęknęła staruszka — toż to było przybrane jej dziecię, kochane, miłe, dobre, serdeczne.

— I ze wszech miar godne miłości jej — dorzucił Alfred — nie przeczę... bardzo! bardzo!

Panna Adalberta, która kochała Lenorę na równi z wojewodzina, złożyła ręce, podniosła oczy i ze łzami rzekła:

— A! to był nasz anioł drogi... ta czarna perełka...

— Ja proszę też panny Łowczanki, jakim sposobem, z kądem, jak ona się dostała do pani wojewodziny?

Na to pytanie zrazu panna Adalberta jakby wahała się odpowiedzieć... kiwała głową, mruzczyła coś...

— Wszak to był podrzutek jakiś... sierota, którą, jak mówią, w czasie jarmarku znaleźiono pod płotem przy umarłej kobiecie, prawdopodobnie cygance...

— To stara historia, widzi pan hrabia, trudno już sobie dziś przypomnieć dobrze... ja tego jakoś tak dokładnie nie pamiętam...

Filutowaty, gdy tego było potrzeba pan Alfred, zmiarkował, że staruszki nie weźmie inaczej, jak na zręczne pochlebstwo.

— Panna Łowczanka ma przecież pamięć tak doskonałą i wygląda jeszcze tak zdrowo i rzeźwo.

Staruszka siwy lok poprawiła i chusteczkę żółtą, w szafranie farbowaną, którą miała związaną głowę.

— Ja, przynajmniej się, niezmiernie ciekawy jestem tej historii — dodał Alfred — nigdy jeszcze od nikogo dokładnie jej opowiedzianej nie słyszał... a jestem pewny, że nikt jej też lepiej nie wie i nie pamięta od pani.

— Pewnie że nie — mruknęła Łowczanka — ale co to tam te stare dzieje!

— Niechże też pani uczyni mi tę łaskę i raz mi to dokładniej opowie... Każdy co innego papie, i trudno w tem wszystkim dojść ładu.

— Dawne dzieje, dawne dzieje! — poczęła zażywając tabaczkę i stopniami ożywiając się w miarę, jak postępowała w opowiadaniu staruszka... Już to ta nasza kochana wojewodzina, gdy się przekonała, że i w drugim małżeństwie dzieci mieć nie będzie, powiadam hrabiemu tylko za tem wdychała, żeby sobie jaką miłą dziecinę przybrać. Ale cośmy jej różnych poddawali, a były i ładne... jakos serca nie miała. Nieboszczyk rządca muranowski śp. pan Jacek Harasiewicz, co był przed panem Wyżnickim i umarł z zapalenia... ten, który też był bezdzietny, i co mu żona, niech pan Bóg uchowa, z wikaryuszem uciekła za kardon,

pojechał raz na jarmark do Bystrzycy... Pani wojewodzina kazała mu cztery pary wołów kupić dla włościan... powraca już nocą. Pani nieboszczka cierpiała bezsenność, bywało do północy nie sypia... a tego dnia posyłała nas może dziesięć razy pytać, czy Harasiewicz powrócił. Gdy powiedziano, że jest na folwarku, kazała go prosić, jak dziś pamiętam...

Nieruchło przyszedł; a jak to ona była zwykła zawsze do ludzi przemawiać po anielsku: moja duszko... cożes ty na jarmarku zrobił? możeś ty uziąbł? niechby ci herbaty zrobili, albo podali wódki...

— Dziękuję — powiada Harasiewicz — zimno mi nie było, alem do domu wracając biedy napytał.—No co? no co?—A lubiła, żeby jej opowiadano.

— Ot, dziecko czyjeś musiałem zabrać przez miłosierdzie i przynieść do domu.— Dziecko? czyje?— Wstyd powiedzieć cygańskie, ale przecież to Chrystus sam powiedział, że i cyganie ludzie, a serce mi się krajało.

Wojewodzina zaczęła mu to chwalić, i jak dziś pamiętam, opowiadał jej, że pośród jarmarku złapali cygana, który był poszlakowany, że kradzionego konia sprzedawał. Była z nim żona obwinęta płachtą, straszna, czarna, która męża krzycząc i broniąc pacholkom wziąć nie dawała. Jak się uczepliła, puścić nie chciała, ani ją można było oderwać. Tam tedy, słyszę, jeden jak ją przez łeb palnął czemś, tak krwią zalana padła w miejscu. Ale że to cyganka, niewielką tam ceremonię z tem robili... złodzieja pociągnęli pod wartę, a kobietę powłócił ktoś pod płot, i tak ją tam rzucili, gdzie pono w kilka godzin skoła... a miała przy sobie małą dziecinę, która przyczepiła się tak do trupa, że jej nie sposób było oderwać... Nikt też się tam o to i nie starał bardzo, bo cyganów się ludzie bali. Byłoby może dziecko tam z głodu zmarło, gdyby nie Harasiewicz tknięty litością, który widząc, że nikt bożego stworzenia nie ratuje, jakoś je sobie przywłaszczył, niemal siłą oderwał od trupa i obwinawszy, utuliwszy z sobą przywiózł. Wojewodzina jak była litościwą, bardzo mu to pochwaliła, posłała do dziecka służbę, jedzenie, potem nazajutrz kazała je odziać, umyć i przynieść sobie pokazać. Ale to było coś takiego dzikiego jak zwierzątko, żółto-czarne, chude, włosy tłuste ogromne... oczy straszne... a kwiczało a nie dało się tknąć. No! ktoby to był wówczas mógł odgadnąć, że wyrośnie na takie piękne stworzenie, przed którym ludzie na twarz padać będą.

Z początku, póki się to nie oswoiło, bieda była okrutna... ale Harasiewicz sam ją na rękach nosił, lubił dzieci... przyhołubił, przygłaskał. Wojewodzina kazała sobie czasem przyprowadzać, i łakociami, zabawkami, pieścotami tak oswajała ją z sobą. Odzywała się w dziecku dzikość, a no i roztropną być poczęła na podziw, a w końcu przywiązywać się coraz do wojewodziny, tak że dopóki była na folwarku, to zobaczywszy ją jak piesek wybiegała, ska-

kała przez płoty, przez rowy, aby się do niej dostać. I tak sobie serce jej ujęła... że w końcu wojewodzina choć wiedziała, że to takie było cygańskie dziecko, umówiła się z Harasiewiczem, który je też bardzo lubił, aby sierotkę zupełnie nieboszcze pani ustąpił. Jak tylko się dostała do dworu, poszło zaraz inaczej; zapomnieli wszyscy, czyje było dziecko, i poczęli ją pani i ludzie nazywać jejmością córeczką. Już to prawda — dodała Łowczanka, więcej mówiąc do siebie, niż do słuchającego z nadzwyczajną ciekawością Alfreda, że nasza panna Lenora taka się stała miła, taka była zdolna i nad wiek swój rozumna, że wszystkim głowy pozawracała. Widząc to nieboszczka, pomyślała o wychowaniu, a Bóg widzi, że na nic nie załowała, gdyby na królewskie dziecko...

— A tenże cygan się nie zgłaszał?—zapytał po chwili cicho pan Alfred.

Panna Adalberta zamilkła, chciała mówić i widocznie wahała się, czy jej to powiedzieć wypadało... ale że się rozgadała, staruszka zapomniiała znać o przestrodze udzielonej, i już się jej trudno było utrzymać.

— Tego, proszę pana nikt nie wie, oprócz mnie... ale to tajemnica! — rzekła, znizając głos i dodając — Julka, idźno zobacz, co się z kotem stało?

— Jestem bardzo ciekawy — dodał Alfred z uśmiechem zadowolenia.

— W lat pięć, gdy już dziewczynina i podrosła i wszyscy się do niej przywiązali, aż tu jednego dnia jawi się w Muranowie cygan okropny, czarny, zbój straszny, w jednej koszuli załojonej, z kijem, pas tylko na brzuchu, jak dziś pamiętam, z konowalskimi jakimiś narzędziami, naprzód na folwark, a potem koniecznie do wojewodziny. Jejmość mnie naprzód wysłała do niego, czego chce, i kazała mu jałmużnę dać. Stał w ganku, bo go do sieni puścić nie chcieli... wysłałam, pytam, a ten łamanym jakimś językiem, że go trudno było zrozumieć, powiada mi, że po dziecko przyszedł. Po jakie? nie prędko się dorozumiała, że po owę sierotę. Gdzie tu mu ją było oddać! Poleciałam jak oszalała do wojewodziny, i powiadam jej, co się święci. Nieboszczka w płacz, dziecko wzięła na kolana i powiada: żeby nie wiem co chciał, dać mu, a Lenorki nie oddam za nic... Przywołaliśmy w pomoc z pola Harasiewicza; cygan jak stał tak stał, wyszliśmy do niego, ani się rozmówić poczciwie, ani mu wyperswadować. My jemu mówimy, że dziecko już nawykło, że mu tu dobrze, on jakby nie rozumiał, swoje i swoje.

— Oddajcie mi moje dziecko... Zostało mi jedno po żonie... Zabili mi biedną moją, niech choć po niej dziecina mi zostanie.—Przysięgłabym była, że płakał, i łązy rękawem obcierał, ale może udawał, kto go wie. Dopiero Harasiewicz nakarmiwszy, napiwszy, do niego: Nie damy dziecka. Wojewodzina ci zapomogę ofiaruje... da ci kuźnię we wsi, siedź a do dziecka się nie mieszaj.—Ten swoje, że on nie

sprzeda krwi własnej. Jak go zaczęli męczyć, to, owo, dopiero pod wieczor zmiękł; ale się uparł, żeby mu dziecko choć pokazać. Wojewodzina w strachu, żeby nie porwał i nie uciekł, a znowu po bożemu i odmówić ojcu tego nie godziło się. Harasiewicz wziął ją na ręce, kilku lokai stało na straży, ja przy niej, wynieśliśmy na ganek.

Dziecko spostrzegłszy cygana, jakby zmartwiało, oczy czarne w niego wlepiło... patrzy... zbladło... Ten z płaczem zbliżył się i coś zagadał... a ona w płacz... sobie... Stary aż na ziemię padł, taki go żal widać po żonie porwał. Scena, powiadam panu.. Dziecko poczęło się rwać jak oszalałe ze strachu... Cośmy my tam mieli! Odnieśli ją do wojewodziny i ledwie nie rychło odchuchali... Tymczasem Harasiewicz z cyganem w umowę. Kuźni za nic nie chciał, bo w miejscu, jak powiedział, nie usiedziałyby, żeby mu złote góry dawali; dziesięć dukatów wziął, i zgodził się wiedząc, że córce dobrze, aby została w Muranowie. Ale to sobie warował, ażeby ją każdym razem, kiedy przyjdzie, mógł widzieć.

— No, i więcej pewno się nie pokazał?—spytał Alfred.

— Ale zaś! — odparła panna Łowczanka — co roku regularnie się przywlekał. Jak dziecina podrosła, wojewodzina choć ją za córkę przybrała, nie chciała przed nią taić, że to był jej ojciec, i nauczyła go szanować...

— Ale nigdy długo z nią nie był, przyszedł, popatrzył, pogłaskał... czasem i słowa nie rzekłszy, porwał się jak szalony do powrotu.

— Więc panna Lenora wie o swem pochodzeniu.

— I wie i nie wie! bo później, gdy się wojewodzina przekonała, że cyganisko było nie potem, łotr, zbój, złodziej, poczęła jej mówić, że to rzecz niepewna, że on się uparł, aby pieniądze brać... i wiarę w niej zachwiała. Jednakże później, ile razy się pokazał cygan, wychodziła do niego, mówiła z nim, badała go.

— I dawno go już nie było? — mówił Alfred.

— Jeszcze na rok przed śmiercią pani nieboszczki przyszedł, przyniósł dla panieki węgierski pasek muszelkami naszywany... gadał z nią długo, popłakał i znikł... Odtąd go już podobno widać nie było.

— Nie spytałeś też, jak on się nazywał?—spytał hrabia.

— A co, proszę hrabiego, może mieć cygan za nazwisko? — odezwała się Łowczanka. On sam jej dał imię swojej żony Zara... i to pannie Lenorze zostało... a jego bodaj jak innych wołali Dżęga...

Uśmiechnął się Alfred... i szepnął:

— Panna Dżęzanka! czystej krwi cygańskiej! Ojciec rozbójnik... matka pod płotem zmarła... c'est charmant! a pani wojewodzina mi ją swatała. Ślicznegobym był miał teścia.

Porwał się z krzesła, aż Łowczankę przestraszył.

— Moja panno Łowczanko! — zawołał — i jakże wojewodzina mogła być tak zaślepioną, tak niepamiętną go-

dnosci własnej i famili, aby pomyśleć nawet podobną istotę wprowadzić do domu i chcieć zaręczyć z siostrzeńcem... To chyba obłąkanie było.

Łowczanka drząc patrzyła nań, posłyszawszy głos zmieniony; teraz dopiero jej na myśl przyszło, że się z wielu rzeczami całę niepotrzebnie wydać musiała, załamała ręce drżące.

— A! panie — zawołała — cóż winna wojewodzina! To dziecko cudowne! Sam pan widziałeś jak wyrosła, co się z nią stało, jak jest piękna, miła i dobra. Cóż krew znaczy czarna i pleć ciemna, gdy dusza wybieleje... A tej duszy nic zarzucić nie można... Któżby tam wiedział o cyganie... Gdy się kogo kocha, jak my ją wszyscy, na myśl nie przychodzi, czyje to dziecko, bo go serce za swoje przybrało...

— A tak! tak! wszystko to bardzo ślicznie — dodał Alfred — ale mnie jednak Bóg strzegł od tej koligacyi... Domyślałem się, przeczynałem zawsze, że tam coś takiego jest, nadto się wojewodzina tała... a w ostatku już była nie przy zdrowych zmysłach...

Panna Łowczanka zmęczona patrzyła, słuchała, w uszach jej tętniło, zaczęła kaszleć, rozplakała się, zawołała Basi... a hrabia się wysunął.

Jadąc do dworu, który teraz pałacem nazywać kazano, świstał wesoło... i już był na wpół drogi do niego, gdy mu coś na myśl znać przyszło, zwrócił się do domku Łowczanki...

Zastał ją przy filiżance rumianku z szafranem, który zawsze dla uspokojenia pijała z porady księdza kwestarza. Staruszka rozlała szacowny płyn na kolana, zobaczywszy powracającego gościa.

— Jeszcze słówko, moja panno Łowczanko—rzekł stojąc przed nią. Przypomnijcie sobie dobrze... bo tu i o was chodzi... Co się stało z naszymi klejnotami familijnymi? My wiemy z inwentarza, co wojewodzina wzięła, ani śladu gdzie się to podziało, szczególnie ów kanak...

Stara patrzyła w niego jak w tęczę, usiłując zrozumieć... drżała.

— Ale ja o niczem nie wiem, na krzyżu przysięd gotowam!

— Pani przy niej byłaś od młodości? to nie może być! Nie życzę nic tać przed nami... Juściż tak kosztowne rzeczy nie mogą zniknąć bez śladu. Panna Łowczanka sama powiadasz, iż miałaś klucze od preciozów i kasy.

— Ale mój dobrodziej! Nieboszczka mi się nie spowiadała, co z klejnotami robiła.

— Jest silne podejrzenie, iż po śmierci jej... któż wie? skradzione być mogły — dodał Alfred.

Staruszka poczęła się trząść całę.

— Skłonności są we krwi! cóżby dziwnego było, żeby córeczka szubienicznika wstąpiła w ślady ojca! Słabość wojewodziny mogła ją uzuchwalić, mogła to uważać za swoje...

Kończył mówić, gdy postrzegł, że Basia podtrzymywała już omdlałą staruszkę, która padła na poduszki fotelu blada i jakby bez życia.

Alfred zląkł się i sam zawołał o ratunek... przybiegła druga służąca, przyniesiono wody i spirytusów... panna Łowczanka otworzyła oczy jakby obłąkane, ale już ją o nic pytać nie było podobna, hrabia wyszedł.

Instrukcyja, dana przez matkę, nakazywała Alfredowi jak najściślejsze poszukiwanie zatraconych preciozów, a przynajmniej ich śladu. Myślą było zacnej matrony, jeżeli tylko najmniejsze się okaże podobieństwo, wytoczyć formalny proces kryminalny Lenorze o nadużycie zaufania i pochwycenie tajemne owych drogocennych brylantów. Czyby on się powiódł, czy nie, zawsze plama i podejrzenie padłyby na znienawidzoną... poszedłby rozgłos o sprawie, i sierota, której rodowód rozgłaszano, straciłaby możność ukazywania się na świecie, musiałaby się gdzieś ukryć, uciekać, a hrabina odniosłaby tryumf świetny, usprawiedliwiając się z postępowania swojego z nią, aż nadto pobłażliwego.

Plan ten zręcznie był osnutym, a pan Alfred wziął go mocno do serca i w zręcznej rozmowie z Łowczanką już do ziszczenia go cenne pozyskał materiały. Szło teraz tylko o wynalezienie jakichkolwiek śladów piśmiennych lub materyalnych owego uronionego kanaku.

Powróciwszy więc z indagacyi, zajął się pan Alfred najściślejszą rewizyą pozostałości po wojewodzinie, która zawsze na wsi papiery swoje i droższe rzeczy trzymała. W intercyzie, gdy szła za mąż po raz pierwszy, klejnoty owe były wyraźnie wymienione. Przy drugim zamążpójściu intercyzy już nie spisywano wcale, znalazły się wszakże inwentarze, a w nich wzmianka o rodzimych owych klejnotach... Co się z nimi później stało, najmniejszego nie widać było już śladu. Wszystkie biurka, szafy, kryjówki, szkatułki przetrząsł Alfred i nie znalazł nic. Nie contentując się tem, poszedł jeszcze do pokojów zajmowanych przez Lenorę i tam znowu poszukiwanie czynił najściślejsze. Już był przetrząsł wszystko i miał odejść zniechęcony, gdy pod szafką zobaczył kilka zasuniętych głęboko szafianowych pudełek... Kazał je natychmiast dobyć przy świadkach...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

U W Y Ł O M U.

DRAMAT W CZTERECH AKTACH.

NAPISAŁ LEOPOLD HR. STARZEŃSKI.

(C I A G D A L S Z Y).

AKT DRUGI.

(Pomieszkanie Horpyny. Obszerna izba wiejskiej chaty; po prawej od widzów okno, w głębi drzwi i komin, na którym rozpalony ogień, po lewej drzwi wiodące do drugiej izby. Horpyna siedzi zajęta przędzą, Antoszka sprząta w izbie. Na ścianie wisi teorban.

SCENA I.

HORPYNA. ANTOSZKA.

HORPYNA.

Dołoż, Antoszko, drewek do komina;
Poranek piękny, lecz wiatr mroźny chłodzi.
Wiesz, oczekuję ciągle mego syna.

ANTOSZKA

(dokładając drewek do komina)

Coś pan, Alexy dziś późno przychodzi.
Pewno w pałacu.

HORPYNA.

Oj — moje sokole,
Teraz w swem gnieździe niechętnie postanie.
Już piosnek jego nie słyhać po siole,
Bo i teorban zawiesił na ścianie.
Ale to nie dziw, gdyż ma wziąć dziewczeczkę,
Jaką się pewnie tu nikt nie postawi.

ANTOSZKA.

Naszego pana ma dostać córeczkę.

HORPYNA.

Niech Bóg wszechmocny jemu błogosławi!
Wiesz co Antoszko, mnie się coś źle wróży,
Ja się o niego lękam, nie wiem czego;
Ta zmiana jemu pewno nie posłuży,
Jemu ten związek przyniesie coś złego.
Pośród nas ludu dziecię wychowane,
Ten blask go pewno olśni i zaślepi.
Jemu te wszystkie uroki nieznanne;
Gdyby tu został, uczyniłby lepiej.

ANTOSZKA.

Nie ma co mówić, będzie wielka szkoda,
Jeśli opuści kiedyś naszą strzechę.
Któż, jak on, życiu wesołości doda?
Któż, jak on, w smutku przyniesie pociechę?

HORPYNA.

Któż tak zaspiewa przy tym teorbanie,
Że aż kozacza dusza się rozplywa?
Że jakby czarem przed oczyma stanie,
Ten świat i ludzie, o których on spiewa?

ANTOSZKA.

Nieraz widziałam, jaki to gwar bywał
Pośród mołojców, w tym naszym futorze,
Przy teorbanie gdy Alexy spiewał
Pieśń o Negrassie, lub o Wernehorze.
Dziwnie się potem jakoś w głowie marzy,
Jakiś czar mieszka w jego teorbanie.
Nie wiem dla czego, coś mi ciągle gwarzy,
Że on nam kiedyś Negrassą zostanie.

HORPYNA.

Tak — ukochane on orle kozacze.
O! jestem pewna, tylko słówko powie,
Raz po orlemu niech tylko zakracze,
Przy nim mołojcy wnet staną gotowi.

SCENA II.

Ciż. ALEXY.

ALEXY

(który usłyszał ostatnie słowa)

Oby się stało tak! — Matko Horpyno!
Obyś znahorką była w tej godzinie!
A wtedy może smutne dnie przeminą,
Słońce zaświeci naszej Ukrainie.

HORPYNA.

Złoty mój ptaku! dla czego tak późno?

ALEXY.

Matko Horpyno! to nie moja wina.
Lecz wierzaj, czas ten nie przebiegł mi luźno;
Tego spóźnienia jest ważna przyczyna.
Bardzo radośną wieść tobie przynoszę:
Ale... dla czego masz chmurkę na czole?
O! ja ten smutek natychmiast rozpląszę
Gdy ci opowiem...

HORPYNA (ze smutkiem)

Już wiem, mój sokole!

ALEXY.

Wiesz, że marszałek...?

HORPYNA.

Swą córkę ci daje.

ALEXY.

I to cię smuci?

HORPYNA (po chwili)

Gdy byłam we dworze,
Raz pomnę, strzelcy, których były zgraje,
Pisklę, sokole ułowili w borze,

I złota klatka to piskle zamknięta,
Nasz pan sam codziennie żywność mu odświeżał,
Jednak... nim trzecia doba przeminęła,
Już w złotej klatce martwy ptaszek leżał.
Bo jego skrzydłom łańcuch nie przystoi,
Bór lub step dziki — to jego żywioły,
Tam byłby wyrósł wśród ojczyzny swojej,
Za nim leciałyby inne sokoły.
Tyś, mój Alexy! to stepowe ptaszę.
Nie — nie dla ciebie jest pałac złożony,
Jak mgła rozpląną się nadzieje nasze,
Gdy w teorbaniu twoim pękną stróny.

ALEXY.

Ja cię rozumiem, matko! lecz tyś w błędzie.
I w złotej klatce twój ptak się nie zmieni,
I w złotej klatce dalej spiewać będzie,
Nie przebrzmi nuta jego dawnych pieni.
Nie pękną stróny mego teorbaniu,
Jakby relikwiarz, strzedz je będę wiernie;
Z nich hymn uleci wojennego tanu,
A wraz z ciemnotą z głów nam spadną ciernie,
I w jasną przyszłość pomknie nasza nawa
Z flagą tryumfu wśród bałwanów wiru.
Czy sądzisz, matko! że mniej pewna sprawa,
Gdy przy mnie anioł będzie stał u steru?

HORPYNA.

Niech tak Bóg zrządzi! Lecz się czegoś trwożę...
Tyś nasz — choć może twoje urodzenie
Inne... lecz...

ALEXY.

O tem słyszałaś co może?

HORPYNA.

Nie — ja nic nie wiem — ale jest wspomnienie,
Którego nigdy nie wygnam z mej głowy.

(po chwili)

Gdy pan pułkownik gdzieś na wojnie zginął,
A po nim nastał tutaj dziedzic nowy,
Nasz pan dzisiejszy — czas jakiś przeminął —
Ucichła wojna — naszych hen pogнали,
To gdzieś w żołdacy — to w sybirskie szlaki,
I tym nielepiej co w domu zostali;
A w naszej wiosce moskiewskie kozaki.
Zostałam sama — jak wiatr nad kurhanem —
Mój mąż zginął gdzieś przed tem bez wieści,
Bo był na wojnie z nieboszczykiem panem.
Oj — będzie temu lat blisko trzydzieści.
Pomnę raz... jakby zmora, czy nocnica,
Wpadł do futuru — gdy już wszyscy spali —
Pisarz — faworyt nowego dziedzica —
Zwano go: Szymon... nie pamiętam dalej...
Zbudzona ze snu — wstając przelekniona...
On płaszcz odstąpił, zapalił łuczywo,
Jakąś dziecięcą przytulał do łona —
A z oczu jemu coś patrzyło krzywo.

„To dziecko“ — rzekł mi — „musisz wziąć za swoje,
„Nigdy dla niego nie braknie ci chleba,
„Lecz niech się o tem nikt w świecie nie dowie!
„Inaczej umrzesz — przysięgam na nieba!“

I nożem ostrym przed oczy mi błysnął...
Chciałam uciekać — o ratunek krzyzczeć...

A on w tem na stół tyle rubli cisnął,
Żem je przez dobę nie mogła przeliczyć.

O!... nie zapomnę nigdy tego człeka —
Chociaż złorzeczyć jemu nie mam prawa,
Czuję — przez niego zła dola nas czeka,
Bo w tem być musi jakaś czarcia sprawa.

Odtąd Alexy! miałam cię za syna;
Niech w dawnych czasach kto mądrzejszy szuka...
Ja więcej nie wiem... tylko że dziecina...

(słychać stukanie u drzwi środkowych)

Ale... czy słyszysz?... Ktoś we wrota stuka!...

ANTOSZKA (patrzając przez okno)

To nieznajomi!

HORPYNA.

Niech Bóg będzie z nami!

Może to...

ALEXY.

Wiem już. — Daremna obawa!

Zostaw mnie matko! tu z tymi panami —
Opowiesz później — bo to ważna sprawa.

(Horpyna i Antoszka wychodzą drzwiami na lewo, Alexy otwiera
drzwi środkowe i wprowadza Edwarda i Fabiana.)

SCENA III.

ALEXY. EDWARD. FABIAN.

ALEXY.

Czekam, stosownie do naszej umowy.

EDWARD.

Ciągle w tułactwie, jak żydowie wieczni,
Tuśmy wezwali ciebie do rozmowy.

FABIAN.

Lecz — czy w tem miejscu jesteśmy bezpieczni?

ALEXY.

Zaręczam za to.

EDWARD (przedstawiając Fabiana)

Więc, Alexy drogi!

Przedstawić mogę ci na pierwszym kroku
Ofiarę łupieztw, mordów i pożogi.

On był szermierzem trzydziestego roku;
To Fabian Borski. W kopalniach Sybiru
Jęczał — lecz szczęściem los mu sprzyjał tyle,
Że zdołał umknąć, by stanąć u steru
Śród burzy, która wybuchnie za chwilę.

FABIAN.

Zawsze tam pierwszy, gdzie ojczyzna wzywa,
Umknąłem szczęśliw ciemięzców pogoni



ZŁOŻENIE DO GROBU — według obrazu Caravaggia.

Na wieść, że naród kajdany rozrywa,
By na uspiionych zawołać: „do broni!“

EDWARD.

Tak jest „do broni!“ to jedyne hasło —
Bo już wolności widna w dali zorza,
A znowu zejdzie słońce co zagasło,
Gdy krzyk ten zagrzni od morza do morza.

FABIAN.

Próżniak, kto w żmudnych robotach gnuśnieje.

EDWARD.

Ja wierzę tylko w szablę desperacką,
W niej tylko całą pokładam nadzieję;
Nie wierzę w żadną mądrość dyplomacką.
Zbawienie tylko na ostrzu pałasza,
I w tym zapale, który cuda czyni;
W nim tylko wiara — cała przyszłość nasza...

FABIAN

(na stronie z szyderezym uśmiechem)

Dziecko! chce biczem lwa wygnać z jaskini!

EDWARD.

I w tym to celu dziś przed tobą stajem.
Alexy! znamy tutaj twoje wpływy;
Burza, co wkrótce wybuchnie nad krajem,
Zaleje także ukraińskie niwy.
Tyś Wajdelotą ludu kozaczego,
Wpływ taki cuda w wielkich chwilach zdradza —
A oręż błysnie pośród ludu tego.
Ten ci szle rozkaz tajemnicza władza.

(dobywa pismo z kieszeni)

Oto jest dowód!... Tu spiskowych lista...
Lecz wszystko jeszcze od Rusi zawisło.

FABIAN.

Myśl to olbrzymia, szczytna, promienista;
Chcesz być nad Dnieprem tem, czem my nad Wisłą?

ALEXY.

Ten Bóg to widzi: całą krew z pod serca
Jam na ojczyzny gotów dać skinienie.
Ktoby się wahał, ten jest przeniewierca,
Pójdę w ofierze na całopalenie.
Lecz nie żądajcie, bym mój lud kozaczy,
Który na głos mój w szyku może stanie,
Wezwawszy dzisiaj do czynu rozpaczny
Pod knut prowadził lub na rusztowanie.
Bo z takich czynów obfity plon zrywa
Wróg, co na owych łatwowiernych czycha,
Gdy dłoń przedwcześnie za oręż porywa
Nie znając ręki, która w bój wypycha.

FABIAN (na stronie)

Przeklęty! temu bielmo z ocz opadło!

EDWARD (z cierpkim wyrzutem)

I ty się wahasz, w tak dziwnym sposobie?
Nie — tego terce moje nie odgadło,
Że będziesz zimnym w tej stanowczej dobie.

ALEXY.

Zimnym?! Czy zimnym zwiesz każdego z ludzi,
Który bez szabli szermierzem wolności?
Czyż zimnym piewca, który pieśnią budzi?
Zimnym, kto sieje w trudzie dla przyszłości?
Czyż zimnym nazwiesz ten tłum, co w żalobie
Kłęczy i czoło przed ołtarzem zniża,
Z pieśnią na ustach, w nowym ofiar grobie
Od strzałów pada, bez broni, prócz krzyża?

FABIAN.

Lecz ten tłum wkrótce krzyż na szablę zmieni...

EDWARD.

I tam położy w oczach tego świata
Znów krwawy atest z tej męczeńskiej ziemi
Praw, które żadne nie przedawnią lata.

ALEXY.

I jakież będą takich ofiar plony?
Jakaż nagroda poświęceń i męztwa,
Gdy kwiat narodu padnie jak skoszony?
Owoce tylko heroizm męczeństwa.

EDWARD.

A więc już w przyszłość straciłeś nadzieję?

ALEXY.

Nie, ja w nią wierzę, jak w zbawienie duszy.
Wierzę, iż wkrótce ta doba zadnieje,
Która na zawsze okowy pokruszy.
Lecz jaka droga wiedzie do przyszłości,
Kto po niej stąpa, lub bez wiedzy błądzi,
Kto z nas się zbliża do portu wolności,
To w niebie tylko jeden Bóg niech sądzi!
Więc obelg na tych nie ciskajmy z buty,
Z którymi w zdaniach jesteśmy w sprzeczności;
Bo nad tyranię, grabieże i knuty,
Szkodliwszym będzie despotyzm wolności.

(po chwili)

Tak jest, Edwardzie! — w tej liście spiskowych
Błyszczą nazwiska ludzi czynów — trudu —
Lecz tak jak dawniej — nie ma na niej nowych
Nazwisk koniecznych, nazwisk dzieci ludu.
J tylko wtedy uwierzę w udanie,
Kiedy ludowi z ocz spadnie zasłona,
Kiedy siermiega przy kontuszu stanie,
Jak dzieci wspólne u ojczyzny łona.
Bez tego — czemże zbrojny hufiec cały?
Wiemy to z krwawych lat już tylu biegu:
Będą wodzowie — będą generały,
Ale żołnierza nie będzie w szeregu.
Po tylu próbach czyliż trzeba więcej?
Tylko z tym ludem możemy szukać plonów,
Bo nie wystarcza sam zapal tysięcy,
Nie... nam potrzeba potęgi milionów.

FABIAN.

By wzruszyć masy — potrzeba sztandaru.
Takim sztandarem są ludzie natchnienia,

Ci tłum prowadzą jakąś siłą czaru...

(na stronie)

Już ja najlepiej to wiem z doświadczenia.

EDWARD.

W oświaty ludu potrzebę też wierzę.

Lecz, kiedy chwila inna się nadarza,

Gdy piersi nasze trza zmienić w puklerze,

Nie wierzę w korzyść pracy bakalarza.

Wszak w Europie są narody wolne;

Czyż nas zostawią w zapasach z wrogami?

Sądziś Alexy! że one niezdolne

W tak wielkiej chwili ująć się za nami?

Niedawnych dziejów karta przypomina,

Że syn Albionu z Frankiem się sprzymierzył,

Stając w obronie praw Muzułmanina,

W Krymie na naszych ciemieżców uderzył.

A lud francuski — nasz druh tyloletny

W przyjaźni ku nam zawsze chętny, szczery,

I jego cesarz wielki i szlachetny

Za stryja spłaci nam dług Sammosierry.

A może także już w bliskiej przyszłości

Nasza ościenna rakuska kraina

Sztandar rozwinie w obronie wolności,

Zmaże Magenty błąd i Solferina.

ALEXY.

I takie mrzonki jeszcze ludzić mogą?!

Mimo klęsk tylu jeszcze o nich śnimy?

Nigdyż nam dzieje nie będą przestroga?

Kiedyż się, Boże! kiedyż przebudzimy?!

Wierz, że w narodach obcych wzruszyć zdoła

Niedola nasza jakieś serca tętno —

Lecz na to musisz wprzód zetrzeć z ich czoła

Piętno Kaima — samolubstwa piętno.

Wierz! wierz, że Anglik naszym zbawcą będzie

On — co jak Moskal mienie Indyan łupi —

On i za cudzych oręża dobędzie,

Lecz tam gdzie taniej swą bawełnę kupi.

A Francuz wesprze dziennikarstwem całym,

Not nawet kilka zmieni z naszym wrogiem,

Do walki wzywać nas będzie z zapałem

I. „fait accompli“ naszym nekrologiem.

Inna potęga jest śród tego świata,

Z nią nikt narodu nie położy w grobie,

A tą jest: wiara w przyszłość i oświata;

Lecz tej... niech naród szuka tylko w sobie.

A ci, co przed nim krzyż noszą z nadzieją,

Niech śmiało naprzód kroczą mimo gromu,

I ziarno prawdy dla przyszłości sięją,

Choć broniąc twierdzy legną u wyłomu.

EDWARD

(z odmiennem usposobieniem)

O! tak, Alexy, różne nasze drogi,

Ale cel wspólny złączy nas w potrzebie;

Więc obaj śmiało spieszymy w twierdzy progi,

A u wyłomu staniam obok siebie.

FABIAN (na stronie)

Ha! nie tu koniec! są sposoby na to!

Te dokumenta jednemu pokażę...

A list marszałka... drugiemu zapląta...

Alexy więźniem... Trzeba iść po straże!

(głośno)

Napróżno walczyć, by pokonać zdanie,

Które poczęte było w silnej wierze.

Pomówcie jednak, a może się stanie,

Że się cokolwiek zbliżycie w tej mierze.

Ja tu zbyteczny. Niech panowie radzą!

(do Edwarda)

Czekam cię wkrótce w karczemce granicznej!

(dobywa pisma z kieszeni i oddając Edwardowi)

Przejrzyj te pisma! może się przydadzą.

Zatrzymaj!...

EDWARD (biorąc pismo)

Pisma?

FABIAN (znacząco)

Treści politycznej.

(na stronie)

Gdy Edward pozna, jak to ludu dziecię

Dziś posagowi jego grozić może,

To się spotkają pewno na tym świecie

Nie u wyłomu... (głośno) Bracia! Szczęść wam Boże!

(odchodzi).

SCENA IV.

ALEXY. EDWARD.

ALEXY.

Wierz mi, Edwardzie! że i ja marzyłem

Wkrótce orężnie służyć naszej sprawie,

Pomnisz jak z tobą wraz sny złote śniłem,

Gdyśmy siedzieli na wszechnickiej ławie.

Lecz dziś...

EDWARD.

Ty nie sądzi, ażebym bezwzględnie

Potępiął myśli, coś wywiódł przed nami.

Lecz liść odarty z drzewa, gdy uwiednie,

To potem łatwiej uleci z wichrami...

I moja wiara od dawnej odmienna,

I krew w mych żyłach coś kipi inaczej,

W letargu życia myśl się błąka senna,

A dłoń się zrywa do czynu rozpaczy.

Ale ta wiara codzien olbrzymieje,

Bo wszelkie inne marzenie się starło,

W niej tylko jednej pokładam nadzieję,

Od kiedy serce dla reszty zamarło.

ALEXY.

Biedny Edwardzie!... więc dawne wspomnienie?...

EDWARD.

Nie mów mi o tem! już serce zwalczone —

Lecz... ona...

ALEXY.
Już jest.
EDWARD.
Bóg z tobą! Nie mam do cię żalu.

ALEXY.
A za dni kilka zostanie mą żoną.

EDWARD.
Więc dłoń uściśnij mi druhu-rywalu!
Wędrowniaku moja niedługa śród świata,
Mego męczeństwa palma niedaleka;
Łatwiej iść w Sybir, lub w uściski kata
Wiedząc, że w domu już nas nikt nie czeka.

ALEXY.
Tak czarne myśli?! I gdzie twoja wiara
W tę przyszłość, którą wywalczym orężem?

EDWARD.
Prawda! ja wierzę, to chwilowa mara!
Lecz... jak ty... wkrótce... mogłem być jej mężem...
Pomnę — w dniu owym jakże była smutną!
Jam raj oglądał w jej spojrzeniu tkliwym —
Ale marszałek odmową okrutną...

ALEXY (z wybuchem zazdrości)
Co?... czyżby ona?...

EDWARD (chcąc przerwać)
Nic... nic... bądź szczęśliwym!

SCENA V.

ALEXY. EDWARD. ANTOSZKA.

ANTOSZKA (wbiega z listem)
Z pałacu z listem przysłano kozaka;
Pędził co siły, z konia ciecze piana.

ALEXY.
Czy też nie zaszła tam przygoda jaka?

ANTOSZKA.
Nie wiem.

ALEXY.
List do mnie?

ANTOSZKA (oddając list Edwardowi).
Nie — do tego pana.
(odchodzi).

SCENA VI.

ALEXY. EDWARD.

ALEXY (zdziwiony)
Jakto?... do ciebie?...

EDWARD.
Nie... ja nie rozumiem.

ALEXY (obejrzawszy list)
Pismo marszałka! — Cóż to wszystko znaczy?

EDWARD (przeczytawszy)
O!... czy podobna... Nie... pojąć nie umiem...
Co? takie szczęście po chwilach rozpaczy!...
Czytaj Alexy!...

(oddaje list Alexemu)

ALEXY (przeczytawszy)
Wanda!... Wanda!... twoją!...
Czy jasny piorun błysnął przed oczyma?
W jakąż się niecną broń twe ręce zbroją?...

EDWARD.
Zbierz swoje zmysły! tu podstępni nie ma...
Ja nie rozumiem...

ALEXY.
Wszakże przed godziną
Sam błogosławił naszemu związkowi.

EDWARD.
Lecz rozważ tylko, czy to moją winą?
Teraz pisany list niech ci odpowie.

ALEXY.
To chyba zmysły starca się zmieszały...
Tak... był w istocie w dziwnym rozdrażnieniu...
Wandy nie wydrze mi dzisiaj świat cały,
Choćbym miał z czartem stanąć w sprzysiężeniu.
Idę do niej!...

(chce odejść)

EDWARD (wstrzymuje go)
Stój! — Bóg niech świadkiem będzie,
Żem całkiem obcy w tej odmiany toku,
Żem cię nie podszedł... nie... nie... w żadnym względzie.
Lecz dziś... już tobie nie ustąpię kroku.
Ja na twej drodze nie stawałem skrycie;
Ten list zniósł wszystko, mój szlak znów otwarty...
Los dzisiaj dla mnie wskrzesił nowe życie,
Nie dam zeń wydrzeć najpiękniejszej karty.

ALEXY.
Więc ciebie zmuszę.

EDWARD.
Alexy! przez nieba!

Rozważ!

ALEXY.
Marszałka chybaś podszedł zdradnie!

EDWARD.
Gotowem przysiędź, gdy przysięgi trzeba;
Jeżelim winien, niech grom na mnie spadnie.
Lecz ja pojmuję, jaki powód nowy
W tej chwili sprawcą jest twojej rozpaczy:
Pana marszałka to przesąd rodowy,
By jego zięciem miał być syn kozaczy.

ALEXY.
O! tak, przekleństwo!... jeśli w tem przyczyna;
Być dzieckiem ludu świat ten wstydem zowie.

(przypomina sobie)
Lecz... mi mówiła dziś matka Horpyna...

O!... muszę wiedzieć...

(po chwili z bólem)

Ach!... Wanda cóż powie?

EDWARD.

Choćbym cię nowym miał ciosem uderzyć,
Niechaj przed tobą staje prawda cała!
Muszę ci wyznać, gdy chcesz, możesz wierzyć...
Że Wanda dawniej serce mi oddała.

ALEXY (gwałtownie)

Nikczemne kłamstwo!

EDWARD

(zdejmuje pierścionek z palca)

Ten pierścień ci znany?

ALEXY (w osłupieniu)

Pierścień odemnie! Jakaż piekiel siła
Ci go przyniosła?

EDWARD.

Przez nią był mi dany.

ALEXY

(do siebie, z wyrazem najsilniejszego bólu)

Tak, gdym ją pytał, rzekła, iż zgubiła.

EDWARD.

Alexy! widzisz...

ALEXY.

Nie... ja nie uwierzę!

EDWARD.

Sam ją zapytaj!

ALEXY (z przedsięwzięciem)

Dobrze... ale wtedy

Za taką zdradę odwet ci wymierzę...

Krwawą zdasz sprawę...

EDWARD (z dumą)

Tylko rozkaż kiedy.

ALEXY.

Dziś, z ust jej wyrok... A jutro o świcie...

(wskazuje przez okno)

Gdzie kurhan koło gaju dębowego,

Zejdziem się... Jeden złożyć musi życie —

Bo oba — żywi nie zejdziemy z niego.

EDWARD

(z odmiennem usposobieniem)

Nie... nie... Alexy!... Rozważ!... nieszczęść tyle!...

Jakieżby klęski te czyny przywiodły!

ALEXY.

Jeżeli wahasz się jeszcze choć chwilę,

To wtedy powiem — żeś lękliwy... podły!...

EDWARD.

Dosyć!... jam gotów!...

ALEXY.

Idę tam! Twa noga

Niech na ich progu dzisiaj nie postanie!

EDWARD (z boleścią)

Raz jeszcze wzywam ciebie, w imię Boga!

Alexy!... rozważ!...

ALEXY (nie słuchając go)

Czekam przy kurhanie.

(wybiega)

SCENA VII.

EDWARD (sam)

Znów w czarę szczęścia źródło spłynął trucizny!

W sercu utkwilo znów ostrze zabójcze!

Życie w ofierze dane dla ojczyzny,

Pierwej na walki stawiać bratobójcze!

Czyż mi to wolno?... Lecz wyboru nie ma!

Niech się więc dzieje, chociaż grom uderzy...

Kto z losem w zwadzie — niech kroku dotrzyma;

Życie ojczyźnie — i jej — dziś należy!

SCENA VIII.

EDWARD. HORPYNA. ANTOSZKA.

HORPYNA (wbiega)

Czy jest Alexy?... Gdzież jest moje dziecię?

ANTOSZKA.

Nie ma go!

HORPYNA.

Boże!

EDWARD.

Cóż to za gwar taki?

Co się to stało?

HORPYNA (wskazując przez okno)

Panie!... Nie widzicie?!

W naszym futorze moskiewskie kozaki!

ANTOSZKA (patrzy przez okno)

Jego tam nie ma!...

HORPYNA.

Może jeszcze wolny!

EDWARD (na stronie)

Moskwa!... Zginałem! Tak, rzecz oczywista!...

(jakby myślą uderzony)

Czyżby Alexy?... (po chwili, odrzucając tę myśl od siebie)

Nie... nigdy niezdolny!...

Trza ich ratować!... (dobywa pismo)

Ta spiskowych lista...

(rzuca pismo w ogień)

ANTOSZKA

(patrząc ciągle przez okno)

Matko Horpyno! Semena schwytali,

Kozaka z dworu — ach! cóż się z nim stanie?

Biczem go ćwiczają i krwią go oblali...

Tutaj go wloką...

HORPYNA.

O! ratuj nas!... Panie!

EDWARD

(dobywa drugie pismo do siebie)

Lecz to Fabiana pismo!... Gdzież je złożę?

(na prędcę przegląda pismo)

To deklaracja jakaś urzędowa,

Skompromitować nikogo nie może.

Tak — ta kobieta może ją przechowa.

(głośno)

Słuchajcie matko! — tu — papiery macie!

Wam nic nie będzie. Oddacie je temu

Którego wskażę. Czy Fabiana znać?

HORPYNA.

Nie.

EDWARD (po krótkim namyśle)

To je oddać można Alexemu;

On mu je wróci.

HORPYNA

(chowa papiery, patrząc ciągle przez okno)

Dobrze. Lecz hołota

Do chaty dąży... Oczy mnie nie zwodzą...

Czegoż chcą tutaj?... Rozwalili wrota!

EDWARD.

Matko! Zmów pacierz!... To po mnie przychodzą!

Zastona spada.

Koniec aktu drugiego.

WPLYW ZYGMUNTA III. JAKO KRÓLA POLSKIEGO

NA LOSY SŁOWIAŃSZCZYZNY ZACHODNIEJ.



dy pod panowaniem Jagiellonów Rzeczpospolita polska nie odniosła jeszcze zupełnego zwycięstwa nad skrytymi i jawnymi nieprzyjaciółmi, to i trudno przyznawać, że w owej epoce, aczkolwiek bardzo świetnej osiągnęła wszystko, co mogła i powinna była osiągnąć. Zakon krzyżacki, występujący do walki otwartej, by osłabić i podkopać potęgę państwa polskiego, miał w tem bez wątpienia swe samolubne widoki, a w istocie stanowił niejako straż przednią, utorować mającą drogę władcom rzeszy niemieckiej, cesarzom niemieckim, i w ogóle żywiołowi germańskiemu do osiągnięcia przeważnego wpływu na sprawy wschodu, na losy ościennych Słowian. Nic więc dziwnego, że władcy niemieccy wzrastania Polski sobie nie życzyli, że na wzmaganie się jej wpływu i potęgi spoglądali z wzrastającą obawą i zawiścią. Już Zygmunt Luxemburczyk, z którego żony siostrą, Jadwigą, ożeniony był Władysław Jagiełło, wyprawił Władysława Opoleczyka do w. mistrza krzyżackiego, Konrada Walenroda, aby rozpocząć kroki ku strąceniu Jagiełły z tronu, a podbiwszy Polskę, podzielić ją między tych, co się na nią spiknęli. I znowu stara się Zygmunt jako cesarz niemiecki rozwieść Litwę z Polską, a przywłaszcza sobie tytuł króla Galicyi i Lodomerji. Wyraźnie zaś obawia się tego, aby Polacy z Czechami nie połączyli się pod jednym berłem. Tak samo i następcy jego Maxymilian I., Karol V. i inni mieszają się w sprawy polskie, schlebując niekiedy królom polskim, aby z łatwowierności ich korzystać, lecz potajemnie szkodzą im różnemi dyplomatycznymi sztuczkami. Nie mała też odpowiedzialność spada na Zygmunta I.,

że się dał uwieść Maxymilianowi i sam namówił brata swego, Władysława, króla czesko-węgierskiego, do przyjęcia zaprosin cesarskich do Wiednia, gdzie nastąpiły bardzo zgubne dla Polski w skutkach swoich zrękowiny. Po ciągnęło to bowiem za sobą nieuchronny rozdział między Czechami i Węgrami a Polską.

Po spełnieniu tak ważnego aktu, zapewnioną wprawdzie została cesarzom niemieckim czesko-węgierska korona, a tem samem i przeważny wpływ na sprawy narodów wschodnich, lecz na laurach spoczywać nie wypadało tak długo przynajmniej, dopokąd Polska była dość potężna, by każdej chwili wystąpić w obronie swobód i praw pobratymców swoich. Powtórne połączenie z Polską królestwa czesko-węgierskiego mogło przy zmianie okoliczności jeszcze nastąpić, owóż nie było rzeczą tak zgoła niemożliwą, choćby i w dalszej nieco przyszłości.

Bądź co bądź samo przypuszczenie takiej możebności było przerażającym nie tylko dla rzeszy niemieckiej, lecz i dla panującej dynastji. Rydwan dziejów zaczął toczyć się już w takim kierunku, że koniecznie musiało się utworzyć nowe a pierwszorzędne mocarstwo, któreby im dalej tem lepiej na wschód rozwieliżyć się mogło. Instynkt do utworzenia takiego mocarstwa objawiał się najsilniej w mężach stanu narodowości niemieckiej, w książętach i panujących z dynastji habsburskiej. Popęd ku rozprzestrzenianiu się od zachodu na wschód objawiał się tam w równej sile, jak instynkt zachowawczy, gdzie idzie o wybór między bytem w dostatkach i znaczeniu, a w ubóstwie i w poniżeniu. Bo nie była to tak mało znacząca

kwestya, gdzie właściwie ma być ów początek i punkt wyjścia wznieść się mającego państwa nowego, już nie niemieckiego wyłącznie, ale przeważnie z ludów nie niemieckich, z Węgier i Słowian powstającego cesarstwa. Można było dopuścić, aby wschodnie, słowiańsko-węgierskie cesarstwo tworzyć się poczynało słowiańsko-węgierskimi tylko siłami, a nie zaś siłami ubiegających się o to z rządami polskimi rządów niemieckich?! Siła kierująca (a nie ma tu jeszcze mowy o siłach fizycznych) tak wielką dla przyszłości sprawą, nie z żadnej słowiańskiej ani węgierskiej stolicy miała wychodzić, ale właśnie z Wiednia, które to miasto będąc wskróś niemieckiem, miało zostać stolicą cesarstwa wschodniego (Ostreich) a z ludów wcale nie niemieckich się składającego.

Prądowi temu na wschód jedynie tylko państwo słowiańskie, jako zorganizowana i wpływowa potęga, skuteczną stawić mogło tamę. Było to szczęściem dla ludów wszechsłowiańskich, że miały około czego się kupić, że wyrobiło się właśnie w sercu Słowiańszczyzny takie przedmurze, które wstrzymywać mogło zapędy nie tylko hord najezdniczych z dalszego wschodu i północy, lecz i ubezwładniać zamiary cywilizatorskiej Germanii. Sama sytuacja wskazywała Polsce, jakim było jej powołanie, i jakiego rodzaju było jej posłannictwo. Nie spuszczać z oka czesko-węgierskiej korony, oto jedynie zbawienna, bo całą przyszłość zawierająca w sobie polityka. Od przeprowadzenia takiej polityki, od osiągnięcia wytkniętego przez nią celu, zależało dalsze powodzenie, dalszy rozwój swobodny na gruncie rodzimym ludów słowiańskich pod opieką i przewodnictwem centralnego mocarstwa, rycerskiej i wspaniałomyślniej rzeczypospolitej polskiej. Z boleścią i żalem przychodzi wyznać, że polski naród, który mając w sobie potrzebne zarody, by dać się popchnąć na drogę usług i poświęcenia się dla dobra drugich, tem samem zasłużyć się ojczyźnie swojej, okrywszy się sławą dokonania wielkich i wspaniałych czynów, nie zdołał przecież znaleźć przewodników, coby rozwijając szlachetne w Polakach zarody, zpożytkowali je dla dobra pobratymczych ludów, które tak ściśle łączyło się z dobrem polskości i polskiej rzeczypospolitej.

Ktokolwiek głębiej nieco zastanowi się nad istotą dziejów owej epoki życia narodu naszego, a czynnej królów naszych polityki, przyznać musi, że ani Jagiellonowie nie starali się przewyższać w zręczności i wytrwałości sąsiednich, a w gruncie wrogich im cesarzów niemieckich, ani ich następcy. Pominąwszy już Stefana Batorego, który całą działalność swoją zwrócił przeciwko Moskwie, a który okrywszy sławą oręż polski, nie zdołał przecież dzięki wpływom jezuickim osłabić Moskwy tak, jak sobie zamierzał, widzimy jak następcą jego Zygmunt III., który zastał szachownicę polityczną tak obsadzoną, iż należało mu zwrócić się przeciwko nieprzyjaciółom wolności sumienia,

a połączyć się raczej z Czechami i z Szwecją ku odparciu ciemnych potęg jezuickich i ultramontańsko-niemieckich napaści, przystępuje bez skrupułu i wbrew interesowi królestwa swojego na stronę właśnie tego obozu, w którym mieściły się najszkodliwsze i najmniejprzejazniejsze wszelkiej wolności żywioły. Bo takie już było wewnętrzne usposobienie tegoż w szkole jezuickiej wychowanego króla, że krew jagiellońska nie zdołała zażegnać wychowaniem przewrotnem spaczonego ducha. Nie było w nim najmniejszej oznaki tego usposobienia, jakim odznaczeni się właśnie Jagiellonowie, a w skutek zupełnego braku charakteru i uczuć patriotyczno-polskich nie mógł mieć szczerego poczucia obowiązków, jakie w owej epoce zasiadający na tronie polskim wytrawny mąż stanu wypełniać powinien.

Nie kochał on wcale narodu, który z przychylności dla krwi, w żyłach jego płynącej, koroną Jagiellonów przyozdobił potomka tej przez dwa wieki szczęśliwie panującej w Polsce dynastji. Lecz na wstępie zaraz zamiast korzystać z doświadczeń swoich przodków a poprzedników na tronie polskim, podsycił nawet sam nadzieje domu habsburskiego, iż na tronie polskim zasiądzie książę z tegoż domu, a Polska nie uchyli się zupełnie z pod austriackiego wpływu.

Wkrótce po osiągnięciu korony polskiej Zygmunt III. zawiadomił arcyksięcia Ernesta pod najściślejszą tajemnicą o gotowości swojej zrzeczenia się godności króla polskiego, wzywając tegoż arcyksięcia, aby się z nim układał w celu osiągnięcia polskiego berła. I oto oświadczył posłom cesarskim, że tylko na rzecz Ernesta zrzecze się korony polskiej, z którym też 20. listopada 1590. roku zawarł umowę, wedle której miał otrzymać stosowne wynagrodzenie, jeżeli stany polsko-litewskie obiorą Ernesta na króla. (Ob. Kilka kart z dziejów austriacko-szląsko-polskich za Zygmunta III przez Aug. Mosbacha).

Nie udało się wprawdzie Zygmuntowi przyprowadzić do skutku zamysłu swego sprzedania korony polskiej, lecz i sam arcyksiążę Ernest, zasiadłszy na tronie polskim, nie mógłby skuteczniej wpływać na dokonanie dzieła ujarznienia zachodnio-słowiańskiego żywiołu, jak to czynił Zygmunt III. Polityka czysto narodowa polska, jako niezgodna z jego usposobieniem i dla idei postępu na obranej już przez Czechów drodze najzgubniejszemi jego sympatyami, nie mogła go obowiązywać, a w ponurej duszy jego budziła raczej wstręt i odrazę. Wsteczne a z istotą chrześcijaństwa niezgodne pojęcia religijne, jakie w nim się wyrobiły, stały się powodem, iż stawał się ślepem narzędziem w ręku zagorzałych fanatyków ku pogwałceniu wraz z wolnością sumienia także i politycznej wolności. Nic więc dziwnego, że równy mu usposobieniem potężny król Filip II. przychylną podał mu rękę, i że u stolicy apostołskiej coraz większą zjednywał sobie wziętość. W mniemaniu, iż działa w interesie kościoła i religii, spuszczał

z oka sprawy świeckie, sprawy najżywotniejsze poruczone sobie narodu, podkopywał jego byt polityczny, zniżał jego znaczenie, obdzierał z majestatu, jaki go jeszcze otaczał.

Monarcha konstytucyjny, król miłującego wolność narodu, pomaga kuć pęta duchownym i świeckim despotom. A stawiając wyżej interes kościoła nad interes własnego królestwa nie zastanawiał się nad tem, że kościół nie na to został postanowiony, aby tamować postęp i rozwój życia w narodach, lecz wprost przeciwnie, aby toż życie wspierać, lub gdzie tego potrzeba, odwracać rozkład, chronić od zagłady. Boć w opecie takiej, jaką przedstawiać miał jeden z apostołów chrześcijaństwa, w opecie, którą stanowiła nie skamieniałość, ale największa ruchliwość i żywotność, znajdować się musiała i odpowiednia ku rozbudzaniu żywotności społecznej siła. Ale tę siłę potrzeba było umieć ocenić, a nie zapoznawać i nie odrzucać onej, jak to czynił Zygmunt, w tem błędnem mniemaniu, że religia, że prawdziwie chrześcijański kościół, może kiedykolwiek znaleźć się w takim położeniu, iżby w upadku, w zagładzie samoistności politycznej nie pogąńskiego lecz właśnie chrześcijańskiego narodu potrzebował szukać ocalenia lub wzniesienia się swojego. Inaczej sądził Zygmunt III., który dał się nawet z tem słyszeć, iż lepiej dać zginąć Rzeczypospolitej, niż aby wiara św. uszczerbek w czemś ponieść miała. Nie ganimy tej gorliwości w wierze religijnej, ale pożałowania godnym uznajemy ten ciasny zakres pojęć religijnych w ludziach, od których losy narodów zależą. Mógłby tak samo ktoś powiedzieć: niech raczej zgładzonym zostanie ten i ów człowiek niż aby miał żyć nie będąc prawowitym katolikiem; bo wypływałoby ztąd, że zgładzonym być powinien wszelki niekatolik, i kto tylko nie wierzy w nieomylność pierwszego arcykapłana a świętego ojca wszystkich katolików i katolickich narodów.

W słowach zatem, które król wyrzekł, mieściła się straszna groźba dla wszystkich różnowierców nie tylko w Polsce, lecz i po zagranicami królestwa tegoż przebywających, do których pokonania i pogiębienia i tu i tam mógł się przyczyniać tak bezwzględny potężny monarcha. Najbliżsi sąsiedzi i pobratymcy nie mogli już oprzeć się plecami swemi o tę Polskę, co jedynie jeszcze mogła ich wspierać i ratować. Bo oto polska korona łączy się

z ligą rzymsko-niemiecką, udzielając jej pomocy swojej przeciwko—jak się wyraził ówczesny biskup krakowski—zbuntowanym poddanym Najj. domu austriackiego, którego się on najwierniejszym sługą mienił.

Nie zależało tu widocznie takim, jak ów biskup sługom wcale nie polskiej i nie słowiańskiej potęgi, aby służyć sprawie swojskiej, ale wprost przeciwnie zależało im, aby ujarzmić swobodę myśli i przekonań religijnych. Zależało więc na zupełnem pogiębieniu Czechów, i w tym to celu radzili królowi nieść pomoc cesarzowi Ferdynandowi. Otóż między innymi odezwał się do króla Łukasz Opaliński: — Zawszym gotów do wszystkich królewskich posług, cóż dopiero w sprawie, gdzie idzie o dobro nieba, bezpieczeństwo wiary św. katolickiej; po ustaniu obawy od Turków, posłać należy nie tylko Lissowczyków, lecz pozwolić Austryakom zaciągnąć żołnierzy.

Podobne głosy jakby gruchanie gołębiczy watykańskiej objęły się o uszy królewskie schlebając własnym jego życzeniom, z jakimi znowu niezgadzały się wcale przeczne i zdrowe rady tych senatorów, którzy przeciwni byli udzielaniu pomocy cesarzowi austriackiemu przeciwko Czechom. Przypominali królowi, że rząd austriacki nigdy nie udzielał pomocy koronie polskiej w różnych zajściach i zatargach jej z innymi mocarzami, a Czechom idzie głównie o starodawne prawa i przywileje czeskiej korony, jako potwierdzone tak długo przez cesarzy a królów, a oraz idzie im o prawo wolnego obierania swych królów. Zwracano i na to uwagę królewską, że mało kto ze stanów polskich zgadza się z wolą króla, widząc w tem niebezpieczeństwo dla korony polskiej.

W dalszym przebiegu dziejów okazało się, że uwagi te i rady nie odniosły pożądanego skutku, a król nie tylko że nie ujął się za Czechami, lecz wysłał nawet hufiec Lissowczyków w pomoc cesarzowi. Skutkiem tej tak źle obliczonej na przyszłość polityki dawne zamiary cesarzów niemieckich uzyskania przewagi i wpływu na sprawy ludów słowiańskich, a tem samem i na sprawy Rzeczypospolitej polskiej, zostały w zupełności przeprowadzone, a jak się później okazało ku szkodzie Słowiańszczyzny zachodniej, a nie mniej i Polski o tyle, o ile uwidoczniły się dało, że losy narodu polskiego ściśle się łączyły z losami Słowiańszczyzny zachodniej, a czesko-węgierska z polską koroną nigdy rozłączać się nie były powinny.

M. DZUŻNIEWSKI.



NAD RUCZAJEM.

I.

Kwieciastą płynąc doliną
Wije się ruczaj przy gaju;
A z brzegu chłopiec z dziewczyną
Patrzą na wody ruczaju.

I rzecze dziewczę we wianku:

„Nieutrudzony w swym biegu
Płynący zdrój bez ustanku
Nie dba o kwiaty na brzegu.

„Co mu ich wonie dziewicze!
Kurzu kadzideł pożąda;
Co mu ich wdzięczne oblicze,
Gdy słońce w nim się przegląda!

„Milsze mu nieba błękity
Niżli te kwietne kobierce;
Świat w tem zwierciadle odbity,
Lecz nie odbite w niem serce.

„Więc płynie zdrój obojętny,
Co go dolina obchodzi!
Może mu widok jej wstrętny,
Bo ją zalewa w powodzi.“

A chłopiec, patrząc jej w oczy —
„Co ci jest?“ — pyta żałośnie,
Jak dawniej woda zdrój toczy,
Jak dawniej dźwięczy miłośnie.

„Łaskawie słuchałaś zawsze;
Choć słońce w nim się kąpało,
Były nań oczy łaskawsze,
Bo słońce w sercu jaśniało.

„Toż rada biegłaś do zdroju
Zaglądnąć w czyste zwierciadło;
Jam śnił tu niebo pokoju!
Czy wszystko jak sen przepadło?“

Dziewczyna spojrzy nań łzawie,
Coś ją w serduszkach rozczuła.
„Ach!“ — jęknie — „ja się tu bawię,
A tam mnie szuka matula.“

I furknie jak ptaszka płocho,
A chłopiec namarszczy czoła —
„Nie kocha!“ — z jękiem zawoła,
Gaj woła za nim „nie kocha.“

II.

Kwieciastą płynąc doliną
Wije się ruczaj przy gaju;

A z brzegu chłopiec z dziewczyną
Patrzą na wody ruczaju.

I rzecze chłopiec dziewczynie:
„Na niebie świeci pogoda,
Ruczaj jak płynął tak płynie,
Spokojna i czysta woda.

„Ale nie zawsze tak bywa;
Niebo nam kryją całuny,
W powietrzu burza się zrywa,
I uderzają pioruny.

„Wojna — to burza wśród ludzi,
Święta, gdy kruszy kajdany;
Ano śmiertelny się budzi
Od ojców bój przekazany.

„Idziem posłuszni ojczyźnie
Walczyć za wolność i wiarę;
Wy siostry, sercem pobliznie,
Nieście jej serc swych ofiarę.

„Bądź zdrowa siostrzo! bądź zdrowa!
Przeżegnaj — a pójdę śmiało;
Módl się — a Bóg mnie zachowa,
Wspominaj — a wrócę z chwałą.“

Tak rzekł — zadrzała dziewczyna,
I blada milcząca stoi,
I krzyżyk złoty odpina
I piersi chłopca nim zbroi.

A on ją ujmie w ramiona
I usta do ustek zbliża,
A ona zarumieniona
Kładzie na czole znak krzyża.

I z rąk mu furknie i szlocha;
Nie marszczy chłopiec już czoła,
„Kocha! ach, kocha!“ — zawoła,
Gaj woła za nim: ach, kocha!

III.

Kwieciwą płynąc doliną
Wije się ruczaj przy gaju;

A z brzegu chłopiec z dziewczyną
Patrzą na wody ruczaju.

„Kula urwała mi nogę —
Rzekł chłopiec—wygnany z domu,
Tułacz, kaleka, czyż mogę
O szczęściu marzyć bez sromu?

„Witać i żegnać przychodzę;
Zapomnieć!... trudno, ach trudno!
A czarno na życia drodze,
Posępno, głucho, odludno!

„Bądź zdrów zdroju pastuszy!
Bądź zdrowa dolino święta!
Bądź zdrowa lilio mej duszy!
Kronika rojeń zamknięta.“

Tak rzekł — a dziewczę się tuli,
„Przepała—jęknie—piers spięki;
Wierz i pójdz, pójdz do matuli,
Tyś mój, jam twoja na wieki!“

IV.

Daleko u wód w natłoku,
Przy uczęszczanem gdzieś źródle,
Widziano stadło po roku:
On się uwijał na szczudle.

Znamy spłoszone to ptaszę;
Kto ona, łatwo zgadniecie:
Kwiateczek, serduszko lasze,
Jakich niewiele na świecie.

Słodko im, słyszę, dnie płyną,
Ino że tęskno za krajem,
Za matką i za doliną
I za ruczajem pod gajem.

A w kraju tęskni matula,
Czeka i codzień wspomina;
Czeka i ruczaj na króla,
A na królowę: dolina.

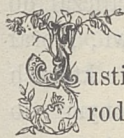
J. Zb.

N I H I L I S T A .

POWIEŚĆ

PRZEZ J. J. J.

(C I A G D A L S Z Y .)



usticia przedstawia się im pod postacią międzyna-
rodowej, moralnej równości, do której dójść można
dwoma sposobami: albo przez podniesienie siebie do wysoko-
ści innych, albo przez zniżenie innych do poziomu wła-
snego. A że pierwsze jest czystem niepodobieństwem,
więc chwytają się drugiego, a to tem ochotniej, że olbrzy-
mia siła fizyczna wzbudza w nich ufność.

„Hura! hura! hej, rebiata!

Na podbicie reszty świata!...“

Podbili Polskę, świata przedśionek; więc tem bardziej
czują apetyt na resztę — a czuje go zarówno car, będący
dla tłumów wcieleniem Boga, i tłumy, będące dla cara
epoką, i jednostki w tłumach, będące apostołami znicest-
wienia — idei, na której właśnie opiera się potęga
wszechcarów. Ci więc ostatni, występując przeciwko carowi,
działają w jego interesie. I dlatego to rząd moskiewski
wypuścił nihilistów na Polskę. Niech ją niceswją — tę
kanalia! — która śmie posiadać w duszy skarby, nieznanne
carowi i jego poddanym.

Niech się przytem niceswją i sami! Carowi to nic
nie szkodzi. I owszem.

Akulina Iwanówna to „i owszem“ zrozumiała dosko-
nale. Niemniej pojętności okazała i Nadzieja Iwanówna.
Paniom tym wyłożone przez Pantalejmona Pantalejmonow-
icza teorye przedstawiły się jako emancypacja kobiety,
przerobiona na moskiewskie kopyto. Co się zaś tyczy Mi-
kołaja Michajłowicza, to ten emancypacji kobiet był prze-
ciwny, ale tylko w zasadzie; znicestwienie jednakże Pola-
ków uważał jako rzecz wielce pożyteczną i słuszną. Pod
tym względem w powiecie X. panowała jak najzupełniejsza
zgoda pomiędzy wszystkimi, oświeconymi i nieoświeconymi
członkami „ruskiej“ kolonii, instalowanej przez rząd
w celu zmoskwiczenia tego odwiecznie „ruskiego“ kraju.

W celu osiągnięcia tego „celu“ bohater nasz zaopa-
trzonem był w instrukcye i informacye, udzielone mu
przez dyrektora departamentu, przez Katkova i przez
Bezaka. Instrukcye te i informacye opierały się na następu-
jącym pewniku:

„Lud jest ruski. Element polski stanowią szlachta,
katolickie duchowieństwo i żydzi.“

Pantalejmon Pantalejmonowicz wierzył zrazu w ten
pewnik i osiągnięcia celu nie uważał za rzecz trudną.

— Lud przecie jest nasz ruski — odezwał się raz u
pewnego.

Marszałek głową pokiwał i odpowiedział:

— Tak nam przykazano mówić i myśleć; ale niestety!
tak nie jest.

Te wyrazy nie były bynajmniej dla Pantalejmona
Pantalejmonowicza objawieniem. Wiedział on już, że tak
nie jest, tylko własnym oczom nie wierzył, albo raczej
nie śmiał powątpiewać o prawdziwości twierdzenia, wypo-
wiadanego stanowczo przez wszystkie moskiewskie powagi
i otrąbianego po całym świecie. Więc marszałek Chabarów
nie potrzebował dowodami swego powiedzenia popierać.
Skonstatował fakt, i głos zabrała Akulina Iwanówna:

— Tu nie chodzi o to, czy lud jest „ruskim“ czy
nie „ruskim“... W Simbirskiej przecie gubernii, gdzie
pułk nasz stał kilka lat temu, Tatarzy, a przecie tam nie
to co tu... Tam my u siebie; a tu?..

— Tu się przed nami zamykają — dokończyła Nadzieja
Mikołajówna.

Matka spojrzała na córkę i zagadała o rodzinie Za-
wiejskich.

Rozpowiadania Akuliny Iwanówny nie będą powta-
rzał. Jedno w niem tylko uwydatniało się. Była to jakaś
pretensya, jakiś tajony w głębi duszy żal, który się dawał
do dwóch naraz odnosić rzeczy: do dumy polskiej, niezro-
zumiałej Moskiewce, i do jakichś zamiarów niedoszłych
czy chybionych.

— Jest to — mówiła marszałkowa — najbogatszy w
powiecie X. szlachcic; ma syna; chcieliśmy z nimi żyć...

Spojrzenia, rzucane z ukosa na córkę, zdradzały, że
pomiedzy wyrażeniami: „ma syna“ i „chcieliśmy żyć“, za-
chodził związek inny, aniżeli ten, jaki z literalnego prze-
bijał się znaczenia.

Ale mniejsza o to. Nadzieja Mikołajówna była już
wymancypowana, dzięki kilku frazesom, wypowiedzianym
przy kilku okazjach przez Pantalejmona Pantalejmonowicza.
Kiedy matka wspomniała o synie pana Piotra, zrobiła
ustami minkę, jakby powiedzień chciała:

— Mniejsza tam o niego...

Mikołaj Michajłowicz dodał:

— Ten Zawiejski trzyma się na wysokości olimpijskiej...
Gdyby go z niej strącić na dół, to abrussienje powiatu
poszłoby w lot... Wszyscy się tu na niego zapatrują... Gdyby
go strącić! — powtórzył z przyciskiem, i po chwilec ze
znaczącym uśmiechem rzekł, palcem na młodego czino-
wnika ukazując:

— Nikt inny tego nie potrafi zrobić, tylko wy, Pantalejmonie Pantalejmonowiczu...

— Ja? — zapytał bohater nasz tonem półdziwienia.

Akulina Iwanówna i Nadzieja Mikołajówna zwróciły na marszałka pytające wzroki.

— Tak, wy — była odpowiedź potrójnie zapytanego. — Wyście młody, przystojny, dobrze wychowany i wykształcony, a on ma piękną córkę... o!...

Ostatnie „o“ ze szczególnym naciskiem było wymówione, z naciskiem takim, od którego Pantalejmon Pantalejmonowicz uśmiechnął się, a panie zdziwionymi wzrokami na marszałka spojrzały.

Marszałek ciągnął dalej, pomagając sobie giestami.

— Córkę mu skreć, i on padnie z Olimpu płackiem w błoto... Ci Polacy są bardzo drażliwi na punkcie honoru.

— A ładna Polka? — zapytał półżartem Pantalejmon Pantalejmonowicz.

— Prekрасna! — wykrzyknął Mikołaj Michajłowicz.

Akulina Iwanówna zaprotestowała:

— Nadzwyczajnego nie ma w niej nic... Świeża; oto cała jej piękność...

— I jak utoczona — poprawił marszałek.

— Tak prawda... kształtną ma kibić — potwierdziła marszałkowa.

— I nosek, oczy, usta zachwycające...

— Tak... no...

— I płeć przejrzysta...

— No... tak...

— I...

Jeszcze jakieś zalety miał Mikołaj Michajłowicz wymieniać, lecz mu Akulina Iwanówna mówić nie dała.

— Wszystko to może jest prawdą — podchwyciła — ale zimne jak z marmuru; a tak się nosi wysoko!.. tyle w niej dumy!.. tyle arystokratycznego zarozumienia!..

Mówiła jeszcze długo. Pantalejmon Pantalejmonowicz słuchał ją w milczeniu i zadumaniu.

W naturze ludzkiej, zwłaszcza młodej, jest coś, co zachęca do łamania przeszkód i przewycięzania trudności. Tem się głównie wyróżnia ferment młodości.

Pantalejmon Pantalejmonowicz, usłyszawszy po raz pierwszy w życiu o panie Hannie Zawiejskiej, od razu poczuł w sobie pragnienie, zmierzyć się z nią. Pragnienie to miało kilka pobudek, pomiędzy którymi najważniejszą rolę odgrywały dwie: pobudka patryotyczna i pobudka próżności. Pierwsza szeptała mu do ucha:

— Skreć Polkę i stracić przez to Polaka z Olimpu w błoto.

Druga nasuwała miłości jego własnej do rozwiązania zadanie:

— Upokorzyć dumę; złamać uprzedzenia...

Poszukawszy dobrze w głębi serca naszego bohatera, to znalazłaby się jeszcze i trzecia, równie ważna, a tą była: piękność nie przystępna.

Pantalejmon Pantalejmonowicz nie zaznał jeszcze kochania, i pytanie: czy zaznać je był w stanie. Umysł jego zanadto młodo wszedł na drogę analitycznego rozumowania, i za daleko na niej zabrął. Miłość zaliczał do kategorii namiętności, podległych temperamentowi, i brał ją w gruncie za jedno z funkcjami naturalnymi, o których fizjologia mówi. Ale jeżeli nie był usposobionym do kochania w lepszym, w podniosłym znaczeniu tego wyrazu, to jest, w tem znaczeniu, z którego jak ze źródła tryska najprzód pojęcie rodziny, następnie pojęcie ojczyzny, w ostatku pojęcie ludzkości, to tkwiła w jego duszy ciekawość.

— Polka?... piękna?... dumna?... nieprzystępna?... A no, zobaczymy, co to to jest?..

Te zapytania błędziły na omacki w jego głowie. Jakby dla rozwiązania ich stawał często przed zwierciadłem i przypatrywał się sobie z zadowoleniem. Miał rację. Należał on do rodzaju tych krasawców, którzy dla Moskiewek są irresistibles. Doświadczył tego na Akulinie Iwanównie i Nadziei Mikołajównie, które z taką łatwością stały się wyznawczyniami jego wiary. Potrzebował tylko rzec słówko, aby pozyskać miłość matki lub córki, albo jednej i drugiej. Więc jakże: miałyby Polka oprzeć się ponętom jego postaci, urokowi jego wymowy i potędze jego przekonań? Wątpił, ażeby to mogło być możliwem. Pełen więc ufności w siebie wybrał się z pierwszą wizytą do państwa Zawiejskich.

Marszałek Chabarów służył mu za introduktora i mentora.

— Jest to formalny atak — mówił do naszego bohatera, kiedy razem z nim do Lityniec jechali — formalny atak, powiadam wam, Pantalejmonie Pantalejmonowiczu... Lityniecki dwór, to polska twierdza... Próbowaliśmy wziąć ją różnymi sposobami: głodem? ma zapasy; podstępami? ma czujny garnizon... Owóż, trzeba wziąć się do garnizonu i osłabić go... Trzymajcież się tylko ostro, atakujcie śmiało, ale ostrożnie... Dziewczyna jest koniec końcem kobietą, a... kobieta?..

Tu westchnął. Zapewne przyszła mu na myśl Akulina Iwanówna.

Zajechali.

W przedpokoju przyjął gości pan Piotr, i zaprosił ich do bawialnego pokoju.

Chabarów rekomenderował nowego czynownika.

— Nie jako czynownika — mówił — ale jako człowieka wykształconego, który z tytułu swego wykształcenia ma prawo do względów dobrego towarzystwa...

Podobna rekomendacja równała się rozkazowi, przyjęcia młodego Gagaryszkina inaczej, niż się przyjmuje czi-

owników. Dlatego też, na zapytanie o panie, pan Piotr odpowiedział Chabarowowi, że zdrowe są i będą wkrótce gościom służyły.

Jakoż po upływie niespełna pół godziny, w ciężkim obowiązku bawienia takich gości, brała udział cała rodzina Zawiejskich, robiąc wysiłki w snuciu rozmowy, która nie płynęła z serca. Mówiono o pogodzie, o złych drogach, o urodzajach, o cenach zboża. Chabarów potraçał o przedmioty polityczne. W takich razach trzeba było manewrami obchodzić treść niebezpieczną dla Polaków, pozostających na łasce i niełasce reprezentantów władzy, bawiących się w wizytę, a robiących z wyrazów zasadzki. Do manewrów tych byli państwo Zawiejscy i ich dzieci wprawieni. Zręcznie omijano zasadzki i utrzymywano rozmowę w granicach absolutnej bezbarwności. Z wyrazów, jakie z ust pana Piotra, pani Piotrowej, Konrada i panny Hanny wychodziły, nie można było się dowiedzieć o opiniach ich i przekonaniach. Nie było w nich ani tak, ani nie; ani białe ani czarno. Nie można było nawet poznać, co oni za jedni: Polacy czy Moskale? Nie można było wiedzieć: czy oni smutni, czy weseli? A grzeczność ich, wyszukana i wpozory jak największej uprzejmości ubrana, miała w sobie coś zimnego. Podobna było do lodu, połyskującego do słońca.

Pantalejmon Pantalejmonowicz mały zrazu brał udział w rozmowie. Postrzegając. Największą baczność zwrócił na pannę Hannę, która na niego wówczas tylko spoglądała, kiedy tego uniknąć nie mogła. Dopiero przy herbacie nieco się rozgadał, a to dlatego, że w celu podtrzymania urwanej rozmowy pan Piotr wyciągnął go na słowo, skorzystawszy z wzmianki Chabarowa o bytności jego w moskiewskim uniwersytecie.

— Skończyłeś pan uniwersytet?..

— Tak — odparł zapytany.

— Jakże to pięknie, jak chlubnie dla pana!..

— Oni wyszli z uniwersytetu z atlicziem — wsunął Chabarów. — Kandydat... z rangą dziesiątej klasy...

— A z jakiego wydziału, jeżeli zapytać wolno?..

— Z literackiego...

— Pięknych pan słuchałeś nauk... Historia literatury powszechnej, są to dzieje ludzkiego ducha... Wedle jakich autorów w Moskwie ją wykładano?..

Pantalejmon Pantalejmonowicz odpowiedział na zapytanie, i z jego odpowiedzi wysnuła się dłuższa rozmowa, w której miał sposobność częściej głos zabierać, i która częściej na niego spojrzenia panny Hanny ściągała. Rozmowa ta stała się w końcu zajmującą. Uczynił ją taką Makbet. Bohater nasz zapomniał na chwilę o roli swojej czynownika-reformatora i potrafił przemawiać językiem ludzkim.

Po herbacie goście odjechali.

— Nu i cóż, Pantalejmonie Pantalejmonowiczu — zapytał Chabarów w powrocie do X. — jakże się wam polska panna podobała?..

— Krasawica — odpowiedział zapytany.

— Z boku patrząc uważałem, że o ile z początku spoglądała na was oczami szklanymi, o tyle w końcu jej oczy były łaskawe... Ten Makbet dobrym był na początek... Trzeba, żebyście sobie Makbetów na pomoc przywoływali i systematycznie szturm przypuszczali... tylko ostrożnie... tylko ostrożnie... a spolujecie zwierzyne... W znaczeniu informacji powiedzieć wam muszę, że pomiędzy Polakami nie obawiajcie się spółzawodników... Sami głupcy... Jeżeli który wie co o Makbecie, to chyba od tej panny... A przytem mówiłem tam starym Zawiejskim i o tem, żeście stałbawoj, i o tem, że wasz papińska dziejstwitelnyim sztatskim sowitnikiem, i o waszych wsiach w kaługskiej gubernii... Wiedzą więc, żeście nie ze swołoczi... to nie zawadzi...

Pantalejmon Pantalejmonowicz nie był rozmownym tym razem. Słuchał Chabarowa, lecz mu nie odpowiadał. Nie był rozmownym po przyjeździe do X. i z paniami, które go zapytaniami zarzuciły.

— A co tam?.. a jakże tam?... panna Hanna?..

— Nu... niczego — odcinał się — krasawica...

— Prawda, że nie taka piękna, jaką ją Mikołaj Michajłowicz przedstawia? — pytała Akulina Iwanówna.

— Prawda...

— Prawda, że bardzo piękna, tylko zanadto posągowa? — pytała Nadzieja Mikołajówna.

— Prawda...

— Prawda, że ma czarną muszkę nad lewą brwią? — pytała Akulina Iwanówna.

— Prawda...

— Prawda, że nie ma czarnej muszki nad lewą brwią, ale na prawej skroni? — pytała Nadzieja Mikołajówna.

— Prawda...

— Człowiek grzeczny damom się nie sprzeciwia — uważał żartobliwie Mikołaj Michajłowicz... To tylko pewna, że prawdą jest, iż ta Polka może głowę zawrócić choćby komu; ale można głowę zawrócić i jej, tylko się brać do niej potrzeba w przymierzu z Makbetem...

Mrugnął i zrobił oczami i głową giest wyrazisty, zastosowany do Pantalejmona Pantalejmonowicza, a oznaczający: ten zuch da sobie radę.

Bohater nasz bronić się musiał prześladowaniu dam. Bronił się jednakże dość słabo póty, póki Nadzieja Mikołajówna nie cisnęła mu w oczy zarzutem:

— Dla takiej krasawicy to się i przekonania własnych można zaprzec...

— Nigdy! — krzyknął Pantalejmon Pantalejmonowicz. Można się z zastosowaniem przekonania nie spieszyć... Można w kompromisy z okolicznościami wchodzić... Można zwlekać, odkładać; lecz zaprzec się? nigdy!.. Nie byłbym Russkim...

Miał rację. Przekonania jego były logicznym wynikiem jego natury, na której je zaszczepił. Gdyby się ich

wyparł, skłamałby samemu sobie — skłamałby może bezwiednie, tak jak się to często jego spółrodakom wydarza, gdy biorą na siebie skórę obcą. On się czuł panem w domu, i dlatego nie czuł potrzeby kłamać. Ten zapewne był powód protestacyi, którą odparł uczyniony mu zarzut. Odparł go energicznie, bo czuł za sobą plecy potężne — otchłań, będącą mieszkaniem apokaliptycznego smoka, bojującego za russką ideę.

Nie długo po powrocie z Lityniec u marszałka bawił. Czuł potrzebę samotności. Panie Chabarowe, matka i córka, wydały się mu obrzydliwemi. Pożegnał je i udał się do swego pomieszkania.

Do X. sprowadził swoje książki i portrety. Urządził się z większym niż w Moskwie komfortem. Najął na przedmieściu domek o trzech pokojach, z których pierwszy był salonikiem, drugi biblioteką, trzeci sypialnią. Salonik i bibliotekę ubrał w portrety, ale je rozdzielił na dwa rodzaje: na takie, które czynownik mógł pokazywać wszystkim, i takie, które mu jego studenckie przypominały czasy. Piotra Wielkiego i Murawiewa rozłączył z Garibardim i Mazzinim, Puszkina z Mickiewiczem. Pierwszych rozwiesił na ścianach w saloniku, drugich w bibliotece, z której zrobił dla siebie sanctum sanctissimum, nieprzystępne nawet dla Mikołaja Michajłowicza. Był więc zarazem i czynownikiem i rewolucjonistą — czynownikiem dla głupiego świata, rewolucjonistą dla siebie. Dyplomata!.. Moskale rodzą się z darem dwoistości, będącej względem dyplomacyi podstawą.

Nasz bohater, powróciwszy do siebie, zamknął się w bibliotece, usiadł przed stołem i głowę na dłoni oparł. Nie długo siedział — zerwał się i począł po małym pokoiku krążyć, jak krąży lew w klatce menażeryjnej. Nie długo krążył — było mu ciasno i duszno. Stanął przed oknem i oparł się łokciem o ramę — patrzył na szybę, ale w niej nic innego widzieć nie mógł, tylko gdzieś w głębi własną postać, odbijającą na tle nocy. Wpatrywał się przez czas jakiś w tę postać i zadał sobie filozoficzne pytanie:

— Czy tu ja, czy tam ja?..

W odpowiedź głośno się roześmiał. Szybę kułakiem wybił i odwrócił się, nie wiedząc co z sobą począć.

Nagle zwrócił na siebie jego uwagę jakiś krzyk koło domku, połączony z chodzeniem i stukaniem. A kiedy nad tem, co by to znaczyć miało, myślał, drzwi od biblioteki się rozwarły, i ukazała się w nich postać urlopowanego czasowo żołnierza, pełniącego przy naszym bohaterze służbę dieńszczyka. Stanął na progu i wyciągnął się jak struna. Ręce wzdłuż szwów, oczy zwrócone na Pantalejmona Pantalejmonowicza.

— Cóż tam? — zapytał go nasz bohater.

— Wasze błahorodie! z dokładem przychodzę...

— E?..

— Wor, a jeżeli nie wor, to miatieznik szybę wybił...

— Paszoł won! — krótko mu Pantalejmon Pantalejmonowicz odpowiedział.

— Słuszajus — była odpowiedź dieńszczyka.

Odsaluterował, wykręcił się na jednej nodze i znikł za drzwiami.

Ten wypadek stał się zimną wodą, bryzniętą na rozognioną imaginacją młodego czynownika. Spadł niby z wyższych sfer na ziemię. Wyszedł z biblioteki do saloniku i krzyknął tonem rozkazującym:

— Iwanusza!.. Czaj!..

W chwilę potem samowar szypiał, i bohater nasz w szlafroku i pantoflach, „dymiąc wagsztafem“, popijał powoli herbatę, do której w większej niż zazwyczaj ilości rumu dolewał. Popijał i dolewał, dolewał i popijał — i od czasu do czasu spoglądał z podełba na Iwanuszę, stojącego nieruchomie we drzwiach, których futryny za ramy mu służyły.

Iwanusza okiem nie mrużył, brwią nie mrugał, nie kaszlał, nie chrząkał, nie oblizywał się — stał niby słup i na rozkaz czekał. Ponętna woń rumu drażniła go, więc tylko nozdrza niekiedy rozdymał i z oddechem wciągał w siebie najlotniejsze cząstki płynu, który był roskoszą jego żywota. To rozdymanie nozdrzy uderzyło naszego bohatera. Wydało się mu jakimeś fenomenem fizyologicznym, którego bliższe zbadanie mogło przynieść jakawąś korzyść nauce. Więc wstał w celu podejsia do dieńszczyka i bliższego przypatrzenia się jego nozdrzom.

Wstał i zachwiał się.

Usta Iwanuszy rozszerzyły się uśmiechem.

Postrzegł to Pantalejmon Pantalejmonowicz i poczuł w sobie gniew. Przystąpił blisko do Iwanuszy i zapytał:

— Czy ty wiesz, zwierzę, że jesteś równym mi człowiekiem?

— Słuszajus, wasze błahorodie — odpowiedział zapytany.

— Czy wiesz, że tak moja jak twoją pramatką jest małpa?..

— Słuszajus, wasze błahorodie...

— Czy wiesz, że powinniśmy się wzajemnie szanować?..

— Słuszajus, wasze błahorodie...

— Czemużes się ty ze mnie śmiał?..

— Słuszajus, wasze błahorodie...

— Uragales mi!.. skatina!..

— Słuszajus, wasze błahorodie...

— He?.. co?.. sukinsyn!..

— Słuszajus, wasze błahorodie...

— Oto tobie!..

Tu podniósł powoli prawe ramię do góry i z rozmachem wyciął Iwanuszy policzek, od którego po izbach rozlegl się oklask taki, że pospione muchy pobudziły się,

pozrywały i brzęczeć poczęły. Iwanusza pochylił się nieco w tę stronę, w którą dłoń Pantalejmona Pantalejmonowicza jego głowę popchnęła; lecz się natychmiast wyprostował i był w pogotowiu do przyjęcia policzka z drugiej strony. Z doświadczenia wiedział (sługiwał bowiem u oficerów), że podobne rzeczy w parze zazwyczaj chodzą. Czekał więc; ale się nie doczekał. Zamiast tego wysłuchał prelekcji fizyologiczno-socjalnej, następującej osnowy:

— Wiedźże, bydlę, żeśmy równi... Ty i ja, ja i ty pochodzimy w prostej linii od małpy, a małpa pochodzi od zaby... Równi jesteście; jednakowe mamy prawa; jeżeli się nam podoba, możemy goło po świecie chodzić; ale ty nie śmiesz mi uragać, bo ja ci, padlec! skatina! sukinsyn! wszystkie zęby powybijam... Ty nie czytał ani Saint-Simona, ani Furierra, ani Owena, ty nic nie słyszał o Darwinie, to ty nie wiesz nic o równości; ty nie wiesz, że każdy człowiek pochodzi od małpy, psa, świni, zaby; każdy, ty, i ja, Mikołaj Michajłowicz, i Akulina Iwanówna, i Nadzieja Mikołajówna, i... i...

Tu się zajęknął i chciał jakieś imię wykrztusić a nie mógł. Czy mu język służbę wymówił? Nie byłoby w tem nic dziwnego. Wlał w siebie ćwierć butelki rumu po raz pierwszy w życiu, a nie należał do rodzaju tych prawowiernych wyznawców grecko-rossyjskiego kościoła, którzy rum piją jak wodę, a wodą się brzydzą jako napojem, przydatnym do pomywania szklanek i sprawiającym chlenie w żołądku. Pantalejmon Pantalejmonowicz pijał i wodę. Wlanie w siebie ćwierć butelki rumu było wybrykiem, który mu przyszedł nie wiedzieć jak i nie wiedzieć dlaczego. Poczul w sobie jakiegoś robaka, który go gryzł. Potrzebował go czemś zalać. W braku rumu lałby w siebie naftę, smołę, witryol — cobądz, byle śmierdziało i paliło.

Nalał się i spać poszedł. Przed zaśnięciem coś mu się roiło. Jakieś postacie snuły się przed jego oczami. Z kimeś rozmawiał. Aż głośno ziewnął, głęboko westchnął, i przed ostatecznym na całą noc zamknięciem powiek rzucił z ust dwa wzrazy:

— Sukinsyn, Makbiet!..

Potrzeba — powiadają — jest matką wynalazków. W naszych czasach przysłowie to możnaby zmienić w następujący sposób: potrzeba jest matką cnót. Będzie to drugie przysłowie, nie mniej jak pierwsze prawdziwe. Ież bo to cnót wypływa z samej potrzeby!

I tak, na przykład:

Akulina Iwanówna i Nadzieja Mikołajówna zagięły na Pantalejmona Pantalejmonowicza parol. Pierwsza radaby była mieć go zięciem, druga małżonkiem; ale gdy wypadła potrzeba, Polaka w błoto wtrącić, złączyły się, albo raczej sprzymierzyły z Mikołajem Michajłowiczem, i czyniąc z potrzeby cnotę, zgodnie i karnie niosły młodemu człowiekowi

pomoc. Nie wyrzekły się wszelako swoich zamiarów, jak nie wyrzeka się zamiarów swoich kochanka, wyprawiająca lubego na wojnę. Pantalejmon Pantalejmonowicz był w ich oczach rycerzem idei moskiewskiej, wydelegowanym do zdobycia twierdzy polskiej. Po zatem był on ich rodzonym, nastajaszczym, należącym do nich ciałem i duszą.

Jakże bo przypadł im do smaku!

— Taki umnica! — jednozgodnie mówiły matka i córka.

Dowiódł im bowiem, jasno jak na dłoni, że człowiek przychodzi na świat z prawami a bez obowiązków; gdyby bowiem z obowiązkami przychodził, to byłby niższym od każdego zwierzęcia — rodziłby się niewolnikiem ugody społecznej, ułożonej i zawartej bez jego spóludziału.

— Czy ja kogo prosił o życie? — ten był jego punkt wychodni. — Czy'm się zobowiązywał z góry do czego?.. Wprzęgli mnie bez mojej wiedzy i woli w chomont, który się nazywa religią, prawem, porządkiem, a który gwałci ten porządek, jakim kieruje się każdy ptak, każdy płaz, każde zwierzę...

Pani i panna nie miały na to nic do odpowiedzi. To co opowiadał im młody czynownik, one o tem wszystkim wiedziały od dawna, tylko wiedzy swojej w wyrazy ubierać nie umiały. Wiedziały, że rzeczywiste dobro i prawdziwe piękno tkwi w nagości; że dawniejsze listki i późniejsze osłony są konwencyonalizmem; że, etc. Wiedziały one o wielu rzeczach, a pomiędzy innemi i o prawdziwym szczęściu, które im Pantalejmon Pantalejmonowicz odmalował takim, jakiego używali pierwsi rodzice w chwili popełnienia grzechu pierworodnego. Znajdowały tylko, że klimatyczne właściwości rossyjskiego imperium nie odpowiadają warunkom Edenu. Ale młodzieniec znalazł na to radę: Moskwa świat podbije i wówczas klimaty będą do wyboru. Z tego wypadało, że ażeby szczęśliwość prawdziwą osiągnąć, trzeba do porządku naturalnego powrócić; ażeby do porządku naturalnego powrócić, trzeba, aby Moskwa świat podbiła; ażeby zaś Moskwa świat podbiła, trzeba stojący temu na przeszkodzie polonizm zniszczyć. W powiecie X. to ostatnie tłumaczyło się przez zdobycie twierdzy Litynieckiej. Otą był powód — powód czysto patryotyczny — dla którego Akulina Iwanówna i Nadzieja Mikołajówna sprzymierzyły się z Mikołajem Michajłowiczem i nie patrzyły krzywem okiem na to, że Pantalejmon Pantalejmonowicz dostał do rozwiązania zadanie, zbałamucenia Polki. Nie było to dla nich miłym; ale... dobru publicznemu poświęciły widoki. Pragnęły jedynie, ażeby się ta komedia jak najprędzej zakończyła i jak najpomyślniejszy skutek osiągnęła.

Ze względu to na skutek Nadzieja Mikołajówna wspomniła o możliwości zmiany przekonania dla krasawicy.

Pantalejmon Pantalejmonowicz uspokoił ją pod tym względem jak najzupełniej.

Lecz, czy uspokoił się sam?

Widzieliśmy, jak spędził wieczór po powrocie z Lityniec. W gorącym napoju szukał uspokojenia i znalazł je. Zasnął snem twardym, ołowianym, i nad rankiem miał widzenie figowego drzewa, okrytego liściem nakształt namiotu. Chciał pod ten namiot wejść — nie mógł. Przyśtępu bronił wąż olbrzymi, który z pomiędzy liści łeb wystawiał i żądłem straszyl.

— Zgniotę łeb temu wężowi! — mówił do siebie Pantalejmon Pantalejmonowicz.

Potwór szydersko do niego się uśmiechał.

Młodzieniec szukał sposobów. Przyszła mu na myśl wielka jego ojczyzna.

— Ona mi dopomoże — rzekł do siebie.

Krzyknął więc z całej siły:

— Moskwa matuszka!..

To krzyknęcie obudziło go. Zerwał się i na łóżku usiadł. Powieki mu ciężyły; w ustach czuł niesmak gorączkowy. Położył się i myślał.

O czym myślał?

Odpowiedź na to zapytanie jest niemożliwą. Można tylko w zarysach podać podstawy, na których się jego myślenie opierało.

Znajdował się on w położeniu człowieka, stojącego w przedsionku świątyni, do której wejście dozwolone jest tylko tym, co są czysti. Potrzebował oczyścić się i wejść.

— Oczyścić się — szeptało mu coś do ucha z jednej strony.

— Wielka idea!.. wielka ojczyzna! — szeptało mu coś do uszu z drugiej strony.

Jedno „coś“ walczyło z drugim „coś“, jak dwaj adwokaci, broniący przed kratkami dwulicowej sprawy. Kto wie, jaki by był rezultat, gdyby na trybunale, w charakterze najwyższego sędziego, nie zasiadała duma.

— Mnież — to! mnie russkawo? jedno dziewczę ma upokorzyć? — zawołał głośno.

Na to wołanie pojawił się w drzwiach Iwanusza.

— Ty?.. po co? — zapytał go Pantalejmon Pantalejmonowicz.

— Po rozkazy, wasze błahorodie...

— Czy ciebie kto wołał?..

— Wasze błahorodie...

— Ja?..

— Tak's...

Pantalejmon Pantalejmonowicz pomilczał przez chwilę i zaczął podać sobie rzeczy do wstawiania i ubrania potrzebne.

Wstał, zebrał się i poszedł do Chabarowa. Ale mu tam było nudno. Nadaremnie Akulina Iwanówna starała się zabawić go rozmową; nadaremnie Nadzieja Mikołajówna wygrywała utwory Bethowena i Rossiniego.

Powrócił do siebie. Ale i w domu było mu nudno. Zamknął się w bibliotece, brał książki do ręki jedną po drugiej, i jedną po drugiej ciskał z gniewem pod szafę, wymawiając za każdym ciśnięciem:

— Wzdor!.. (to znaczy: głupstwo).

Wyszedł na miasto i szukał rozrywki w przypatrywaniu się przedmiotom, które się w oczy rzucały. Ze wzgórza objął okiem całe miasteczko, w którym uwydatniały się trzy budowle: kościół katolicki, cerkiew prawosławna i bóżnica żydowska. Popatrzał przez chwilę, zmarszczył się i rzekł:

— Wzdor...

Poszedł w pole. Myślał. Po głowie smuły mu się jakieś wojny, i przypomniała się mu owa branka, którą Scypion narzeczonemu oddał. Roześmiał się i sam do siebie powiedział:

— Cóż to za głupiec był ten Scypion!..

Tak przeszedł mu dzień. Wieczorem znów szukał uspokojenia w rumie.

W następnym dniu cały poranek poświęcił toalecie. Mył się, cesał, włosy pomadował, strojów dobierał. Na obiad mało jadł; po obiedzie wybrał się do Lityniec.

I zabawił tam do wieczora.

Nie będę opisywał tej wizyty, ani tych, które po niej nastąpiły. Pantalejmon Pantalejmonowicz stał się u państwa Zawiejskich gościem bardzo częstym, prawie codziennym. Nie mile go widywano, ale grzecznie przyjmowano. Lodo-wate uśmiechy maskowały niechęć, która wzrastała w sercach w miarę, jak uczony czynownik rozwijał swoje teorie socyalne. Nie przeciono mu w tym względzie, nie dyskutowano z nim; trzymano się na obronie na pozycji niedostępczej: i dlatego wygadywać się musiał ze wszystkim, co w duszy swojej złożył, jako syntezą wiedzy, zastosowanej do moskiewskiego ducha.

A lubiał skarby tej wiedzy rozsypywać przed niemymi słuchaczami. Lubiał, wzorem Karola Fourier, malować obrazy szczęśliwości społecznej, wolnej od wszelkiego przymusu i wszelkich obowiązków.

Nikt nigdy mu na to nic nie odpowiadał.

Mówił; zapalał się; — słuchacze patrzyli na niego takimi oczami, jakby patrzyli w próżnię. Monologi jego nie wywoływały echa. Zostawiano go absolutnym panem słowa — i tylko wówczas toczono z nim rozmowę, kiedy treść jej odnosiła się bądź do literatury, ale nie polskiej, bądź do sztuki, bądź do której z niezabronionych przez rząd nauk.

Raz grzeczna, obojętność, drugi raz obojętna grzeczność były niezmiennymi zaprawami wszystkich przyjęć, jakie Pantalejmonowi Pantalejmonowiczowi pod dachem litynieckiego dworu czyniono.

(Dok. nast.)

JÓZEF WARSZEWICZ.

Wielkie nieszczęścia mają tak w życiu narodów jak i u pojedynczych ludzi często skutki zbawienne: nadają duszy hartu, naprowadzają do pracy nad sobą i wdrażają w nowe tory, na których dotknięty nieszczęściem dochodzi w końcu do stanowiska, nie równie świetniejszego nad to, na którym go dotknął grom nieprzyjawnego losu.

Przykładem tego jest nasza emigracja, z której łona wyszło tak wielu mężów uświetniających dzieje naszego narodu, jako żywe świadectwa, że naród przynębiony nieszczęściem nie upadł, ale do nowego dzielniejszego krzepi się życia.

Jednym z licznych przykładów a jedynym w swoim rodzaju jest Józef Warszawicz.

Warszewicz posiadał tę wytrwałość w pracy eichej, nie rozgłosnej a przez skutki swoje rozgłos jednajęcej, jaką się odznaczają synowie tej, tak srogo teraz nawidzonej a zawsze wiernej siostrzycy ojczyzny naszej, Litwy.

Rok 1812, jedna z epok wiele znaczących w dziejach naszych, po której zetknięcie się dwóch kolosów politycznych, Francji z Moskwą, nadało nowy kierunek losom Europy i naszej ojczyzny, bo rzuciło pierwsze zarody do następnych naszych powstań i wpowadziło myśl restauracji

Polski na porządek dzienny polityki europejskiej, był rokiem urodzenia Warszawicza.

Skromnie rozpoczął Warszawicz zawód życia swojego, po przebyciu pierwszych nauk w Wilnie poświęcając się ogrodnictwu. Musiały już w młodym wieku odznaczać ucznia niezwykle zdolności, skoro znalazł umieszczenie przy ogrodzie botanicznym akademii wileńskiej, gdzie pracował z zamiłowaniem i gorliwością, niekuszając się o znaczenie w świecie lub ambitne cele, za którymi się tak często ugania młodzież uzdolniona.

Rok 1831 oderwał młodzieńca, liczącego zaledwie lat dziewiętnaście, od spokojnej pracy. Poczul w sobie serce Polaka, porzucił ulubiony swój zawód, pożegnał milczące towarzystwo swoich kwiecistych wychowanków, aby tą samą ręką, która umiejętnie władała niewinną bronią ogrodnika,

uchwycić za oręż i nadstawić młodą pierś w obronie ojczyzny.

Ogrodnik stał się żołnierzem, a na tem polu nie należał do ostatnich. W krótkim przebiegu świetnej a nieszczęśliwej kampanii powstańczej dosłużył się Warszawicz stopnia oficera. Upadek powstania wypchnął go z towarzyszami za granicę. Był on jeszcze w tej mierze szczęśliwszym od wielu towarzyszków swoich, że dzięki swojemu



Pomnik J. Warszawicza w ogrodzie botanicznym w Krakowie.

zamiłowaniu do ogrodnictwa i zdolnościom nie potrzebował w dalekiej obczyźnie szukać schronienia i ustalenia losu. W początkach zaraz po przejściu na ziemię pruską zostawał Warszewicz na ziemi pierwotnie polskiej, aczkolwiek już przez cudzoziemców przeważnie zalanej.

Pracował on w swoim ulubionym zawodzie jako ogrodnik w Instruniu (Insterburg) w pobliżu Królewca, później dostał się do ogrodu botanicznego w Berlinie, gdzie właśnie nabył tego wykształcenia, któremu zawdzięcza swój los.

Przełożeni cenili tak wysoko jego zdolności i gorliwość w pracy, że gdy towarzystwo ogrodnicze w Berlinie zamierzyło w r. 1844 wysłać zdolnego i młodego botanika swoim kosztem dla odbycia podróży naukowej po średniej Ameryce, polecono na tę misję Warszewicza. Równocześnie z Warszewiczem miano wysłać jeszcze kilku innych wysłanników towarzystwa ogrodniczego berlińskiego w tych samych celach.

Zadaniem wysłanników tych było: zbierać nasiona roślin, rosnących dziko w tropikowej i równikowej strefie średniej Ameryki, i zbadania oraz nadbrzeża rzeki St. Tomasza w dziedzinie rzeczypospolitej Guatemali, aby ocenić, czy takowe okaże się sposobnym do uprawy roślin gospodarskich i do zakładania tamże kolonii.

Cel ten zachęcił przedsiębiorczego badacza, pragnącego zasób swoich wiadomości z bogacić nowymi szczegółami o rzeczach dotąd nikomu nieznanych. Nie odstraszył go ani zabójczy klimat owych stron, ani też nie zraziły go trudy i niebezpieczeństwa, z jakimi, wedle słyszanych przewidywań, miał walczyć. Przyjął on udział w tej naukowej wyprawie i wyjechał do Ostendy, z kąd d. 5. grudnia 1844 odpłynął do środkowej Ameryki.

Niemięły go tu przewidywane niebezpieczeństwa, mianowicie zaś skutki zabójczego klimatu średniej Ameryki. Morze Karaibskie jest ową zabójczą krainą, na którego wybrzeżach panuje epidemicznie tak zwana żółta febra. Kogo zaraz po przybyciu na ląd nie ogarnia zabójcza choroba, tego może uchronić tylko szybka ucieczka w górskie krainy, gdzie już wpływy tamtejszego powietrza mniej są zgubne dla zdrowia.

Warszewiczowi nie dozwalał cel jego misji uciekać przed godzącymi na życie i zdrowie wpływami klimatu. Zapał dla badań naukowych natchnął go podobną odwagą, jak niegdyś głos powstającej ojczyzny. Ważna jednak różnica zachodziła w tem, że nie równie wątpliwym jest skutek walki z siłami przyrody niż z zastępami wojsk nieprzyjacielskich — tu możliwe zwycięstwo, tam prawie zawsze pewny upadek.

Doświadczyli tego wszyscy towarzysze Warszewicza. Z wyprawy licznej kolonistów belgijskich i flamandzkich, przybyłych razem z Warszewiczem do zatoki St. Tomasza, nie pozostał ani jeden przy życiu; wszystkich pochłonięła żółta febra prócz jego jednego i pewnego lekarza z Fla-

mandyi — i to w przeciągu niespełna pół roku. Nie uniknął i Warszewicz tej klęski, choroba go dotknęła i dręczyła blisko przez rok cały. W końcu przewyciężyła ją jednak silna Warszewicza natura, i po długich cierpieniach odzyskał przeciw zdrowie.

Ocalenie swoje uważał snąć Warszewicz za wskazówkę Opatrzności, iż go chciała zachować dla celów, jakim poświęcił swoje trudy a nawet zdrowie. Zwycięstwo to było dla niego bodźcem do dalszych nie mniej trudnych, choć może nie tak dla zdrowia niebezpiecznych podróży naukowych. Zaledwie przyszedł do siebie już wyruszył na podróż.

Udając się do Meksyku południowego w celu zbadania tamtejszej roślinności, wysłał on całą swoją zdobycz naukową, jaką był zebrał w czasie pobytu w St. Thomas, a która stanowiła obfity zbiór nowych, zupełnie dotąd nieznanych roślin, do Gandawy dla Van-Houttego i do Anglii. Owoc tak mozolnej i niebezpiecznej pracy nie został bez uznania. Zbiory Warszewicza zwróciły powszechną uwagę na siebie w uczonym świecie. Uznano też zarazem potrzebę popierania tak dzielnego pracownika.

Uczeni angielscy i belgijscy zapewnili Warszewiczowi pomoc pieniężną, a on okazał przez skutki, że godnym był tej pomocy.

Zwiedził w różnych kierunkach idąc biegiem gór kordylierskich wszystkie najobfitsze w roślinność krainy południowej (a właściwie średniej) Ameryki, a potem udał się Oceanem spokojnym do Ecuador, z kąd następnie dostał się do Bolivi.

W tych swoich wyprawach z bogacił Warszewicz nie tylko botanikę nowo odkrytymi roślinami, które zbierał żywcem albo w nasionach, ale także zoologię przez zbieranie owadów i osobliwych ptaków. Warszewicz miał tak w świecie roślinnym jak i zwierzęcym swoje ulubione rodzaje. Była to wszakże predylekcyja nie z innych pochodząca motywów, jak czysto naukowych. Tak między ptakami najulubieńszym rodzajem był dla Warszewicza kolibri, ptak najbardziej zbliżony do owadów, jeżeli nie przez co innego, to przez nader drobne rozmiary w budowie ciała. Warszewicz odkrył wielką ilość wariacji tego rodzaju, podczas gdy przedtem nadzwyczaj mało takowych znano.

Między roślinami należały do ulubionych Warszewicza storczyki, których największą ilość najrozmaitszych kształtów, a nieznanych dotąd w Europie rodzajów, zbierał w Costaricca w okolicy wulkanu Chiriqui. Było to niemałym zadaniem, bo trzeba było znać wszystkie osobliwe storczyki, znajdujące się w cieplarniach europejskich, ażeby nowo odkryte rozróżnić od znanych już w Europie. Warszewicz posiadał tę wiadomość, więc praca jego z bogacała za każdym krokiem zasób wiadomości botanicznych.

Zapał jego do naukowych zdobyczy dodawał mu siłę do znoszenia dolegliwości, jakimby inny bezsprzecznie był uległ. Ze skwaru 40stopniowego w nizinach, przeciw

któremu tylko w cieniu drzew ulgę znajdował, przeniósł się on w góry, gdzie znowu od dokuczliwego zimna nie miał innego schronienia prócz szczelin w skałach. Okolice bowiem, w których Warszewicz poszukiwania swoje czynił, były w owych czasach tak bezludne, że często po całych miesiącach bez mieszkania i towarzystwa ludzkiego zostawał, a żywić się musiał szczupłym zapasem żywności, którą z sobą nosił, złożonej z zeschniętego chleba i solonego mięsa; za dopełnienie tego sposobu żywienia się służyły mu leśne owoce zbierane w podróży. Dodajmyż do tego torowanie sobie drogi na ziemi zarosłej najbujniejszą roślinnością, gdzie ludzka noga nie powstała, i gdzie walka z zaroślami równała się nieledwo walce z dzikiem zwierzem; miejsca bowiem, z mozołem kilkudniowym wytrzebione, znajdował, gdy do nich powrócił po kilku dniach, nanowo skrzyętą ręką przyrody zatarasowane.

Przez sześć lat prowadził Warszewicz taki żywot pełen trudów i walk z niebezpieczeństwem. Nie mogło to wpłynąć korzystnie na jego stan zdrowia i siły fizyczne; jakoż istotnie zapadł na długotrwałą zimnicę, a oprócz tego dotknięty został znacznym przytępieniem słuchu. Okazała się potrzeba zmienienia przynajmniej na czas pewien dotychczasowego trybu życia, potrzeba wypoczynku i pokrzepienia sił nadwątlonych. Opuścił więc w r. 1850 Amerykę i wrócił do Europy. Udał się on najpierw do Anglii, gdzie już poprzednio znalazła gorliwość jego poparcie ze strony uczonych.

Wypoczynek wszakże nie trwał długo. Anglicy umieją wyzyskać siły naukowe, i nigdzie też nie popłaca tak znakomicie rzetelna praca na polu naukowym jak w Anglii. W tym względzie nie wytrzymał i co do Warszewicza żaden kraj inny współzawodnictwa z Anglią.

W Niemczech znalazł Warszewicz wprawdzie znakomite uznanie. Ogłoszone przez niego spisy nasion nieznanych dotąd lub bardzo rzadkich gatunków roślin, które zebrał w Ameryce, zwróciły uwagę pierwszych europejskich naturalistów. Alexander Humboldt, który także odbywał podróż naukową w celach przyrodniczych po Ameryce, cenił wysoko odkrycia przez Warszewicza poczynione, i wydał mu z tego powodu list polecający go wszystkim swoim znajomym i przyjaciółom, ażeby byli Warszewiczowi pomocnymi w jego pracach. Świadectwo takie miało wielkie znaczenie dla Warszewicza, ale było ono jedyną zdobyczą, jaką odniosła jego praca w Niemczech.

Nasz ubogi kraj nie mógł uczonemu rodakowi dać innego dowodu swego uznania, jak powołać go na inspektora ogrodu botanicznego w Krakowie. Uczynił to uniwersytet jagielloński za popędem Czerwiakowskiego. Ale Warszewicz musiał na ten raz odmówić przyjęcia posady, która niezawodnie była dla niego wielce miłą. Stało się to wskutek zabiegów czynionych ze strony angielskich uczonych, ażeby wyzyskać zapał i zdolność Warszewicza dla postępu nauki.

Lord Derby przedstawił towarzystwo ogrodniczemu angielskiemu wniosek, aby Warszewicza wysłać na trzechletnią podróż po Ameryce południowej.

Przybywszy za ledwie w początkach sierpnia 1850 do Anglii, wyruszył niezmordowany podróżnik już w listopadzie tegoż roku znowu do Ameryki południowej, gdzie wylądował w Kartaginie. Podróż ta, jakkolwiek tylko trzy lata trwała, była wszelako obfitszą jeszcze w zdobycze naukowe, niż poprzednia sześciolletnia pielgrzymka po środkowej Ameryce. Zwiedził on Nową Grenadę, Venezuelę i Guyanę angielską. Przebywszy te kraje udał się do Brazylii.

Ogromne te obszary przebywał Warszewicz z młodzieńczym zapałem i niezłomną wytrwałością starego żołnierza, to pieszo, to na mułach; wdierał się na szczyty gór, gdzie już roślinność ostatnimi tylko wysiłkami się objawia, a ztamtąd schodził znowu w puszcze dziewicze, siecią wód zalane, które to wody przebywał z niebezpieczeństwem życia często wplaw na mułach, albo na tratwach na prędcie z pni palmowych za pomocą wiklin sporządzonych. Był on na znanej górze Czimborasso aż na wysokości 18.000 stóp, t. j. $\frac{3}{4}$ mili nad powierzchnią morza. Ogromne obszary północnej Brazylii, szczyty najwyższe gór peruańskich (Nevada di Sorata i Illimani), stepy południowej Boliwii, kraje Chili i część Patagonii przebył on w ciągu peryodu trzech lat wytkniętego mu przez towarzystwo ogrodnicze angielskie. Jestto podróż, do której odbycia inny potrzebowałby najmniej 10 lat.

Warszewicz dotrzymał terminu i w jesieni 1853 już wracał do Europy większymi jeszcze niż przedtem zbogaciwszy się skarbami naukowymi. Część pewną tych skarbów postradał przez zatonięcie statku na rzece Magdalenie, gdzie i życie jego było w niebezpieczeństwie.

Przybywszy do Europy przyjął na powtórne zaproszenie posadę inspektora ogrodu botanicznego w Krakowie, głównie za staraniem tegoż prof. Czerwiakowskiego.

Spędził on tu ostatek swego życia i miał to zadowolenie, jako też sprawił je ziomkom, że posługi swe po długiej i mozolnej pracy mógł poświęcić ojczyźnie.

Rozwinał tu Warszewicz czynność wielce pożyteczną dla zakładu krakowskiego. Warszewicz bowiem, który znał wszystkie tego rodzaju najznakomitsze zakłady europejskie, i wiedział jakie z którego osobliwości mieć można, będąc zresztą znanym w całej Europie ze swoich podróży i odkryć na polu botaniki i zoologii, miał większą niż kto inny łatwość zaopatrzenia ogrodu krakowskiego w cenne zbiory roślin, tak dobranych i osobliwych, że Kraków szedł o lepsze ze wszystkimi znakomitymi zakładami tego rodzaju w Europie. W ciągu pobytu tego w Krakowie nie odbywał już Warszewicz żadnych podróży w celu poszukiwań botanicznych, ale był niejednokrotnie wzywany podczas wystaw ogrodowych pierwszorzędných, jakoto: w Wiedniu, Holandii i Belgii, na sędzię przy wyborze okazów i przyzna-

waniu nagród. W żadnym innym zawodzie podobno nie spotkało jeszcze Polaka tak zaszczytne uznanie świata uczonego. Otrzymał on także sam po kilkakroć nagrodę na wystawach za okazy wypielegnowane jego staraniem w Krakowie.

Żelazne zdrowie Warszewicza, jakkolwiek trochę nadwątlone mozolami przebytymi w podróżach, zaczęło niedopisywać. Przyzwyczajony do zwycięskiej walki z wszelkimi zamachami nieprzyjawnymi przyrody, nie chciał Warszewicz przyznawać sobie tego, że siły jego i stan zdrowia ulegają zgubnym prawidłom. Chociaż nie był jeszcze zbyt wiekowym, przecież dawały się po przekroczeniu pięćdziesiątego roku życia coraz bardziej uczuwać skutki poniesionych trudów. W roku 1867 zapadł kilkakrotnie na cierpienia wnętrzości, wreszcie w grudniu tegoż roku zachorował na zapalenie kiszek i po trzydniowym cierpieniu dokonał pracowitego i pożytecznego żywota d. 29. grudnia.

Warszewicz przyczynił się wielce do uświetnienia imienia polskiego w świecie uczonym, i nikt mu tej zasługi odmówić nie śmiał, chociaż spotykaliśmy się już ze strony niektórych napuszonych uczonych ze zdaniem, że nie był niczem jak tylko „prostym ogrodnikiem.“ My na to odpowiadamy tylko: Daj nam Boże więcej takich „prostych ogrodników“, którzyby się szczylicili europejską wziętością i uznaniem mężów, odznaczających się wysokim stanowiskiem naukowem, jak Alexander Humboldt, i inni, którzy opisywali uczenie odkryte przez niego nowe rośliny i chrzcili je nazwiskiem Warszewicza. Dwa rodzaje roślin nazwano wprost po nim, a mianowicie pewien rodzaj storczyków (orchis), z południowej Ameryki nadesłanych, nazwał Reichenbach: Warszewiczella, a które znaleźć można tylko w pier-

wszorzędnych cieplarniach europejskich. Klotsch nazwał znowu pewien rodzaj drzew, podobnych do drzew chiny, Warszewiczia. Roślin tych nie znajdziesz żywcem w żadnej cieplarni europejskiej, istnieją tylko zasuszone okazy, rosną zaś one w południowej Ameryce. Zoologia liczy także gatunki gadów i kolibrów przez Warszewicza odkrytych.

Warszewicz nie należał zresztą do ludzi wysoko oświeconych, był w obejściu dosyć szorstkim i odstępczącym, a pomimo tego był wysoko cenionym nie tylko przez uczonych obcych ale i naszych. Tak łączyły go węzły przyjaźni z Czerwiakowskim i innymi uczonymi polskimi, wysoko był ceniony przez Humboldta (jakeśmy nadmienili), a z królem belgijskim zostawał prawie w przyjacielskich stosunkach. Miał zresztą Warszewicz i swoje właściwości. Mówił bardzo wieloma językami, ale nie wyuczywszy się ich systematycznie, tylko przez używanie, przekręcał je najdziwniej, płał narzeczami ze sobą, tak że gdy mówił po niemiecku, to mieszały się angielskie i holenderskie wyrazy. Podobnie mówił po hiszpańsku i po francuzku, a zapewne i owymi językami pierwotnych mieszkańców Ameryki, które znał, ale których poprawnego i czystego mówienia znajomi Warszewicza skonstatować nie mogli.

Nie miał Warszewicz pretensji do uczonego i literackiego zawodu, nic nie ogłosił drukiem, prócz spisów roślin, odkrytych w Ameryce, pozostały wszakże pisma po nim, które godziłoby się rozpatrzyć może i drukiem ogłosić.

Stracił w nim naród przedstawiciela w naukach przyrodniczych, jakich mało posiadaliśmy i posiadamy, a w uznaniu tego znaczenia Warszewicza dla narodu i nauki w ogóle wzniesiono mu pomnik w Krakowie. K. WIDMAN.

DO PANI ANTONINY K.....

POŚYŁAJĄC JEJ WINCENTEGO POLA „PIEŚŃ O DOMU NASZYM.“

Było to w nocy dzielącej dwa lata,
Gdyśmy czytali razem „Pieśń o Domu,“
Tę pieśń poety, co raz słowiczeje,
Raz się podnosi do potęgi gromu.

Tę pieśń poety, która odzwierciedla
Wszystko, co w domu naszym jest nam drogie:
Zwyczaj i wiarę, i mowę ojczyzną,
I chwile smętne i uczucia błogie.

Tę pieśń poety, w której się odbija
To szczęście, jakim świeci polska strzecha,
Gdy para siedzie zmrokiem przy kominku.
I gdy w kołysce anioł się uśmiecha.

I kiedy w progi jakiś gość zawita
Przyjęty szczerze polskim obyczajem...
Tę pieśń, co człeka podnosi ku niebu,
Łącząc go oraz z tym rodzinnym krajem.

Lwów dnia 10. stycznia 1870.

Ta pieśń niech służy Ci za przewodnika
Śród życia tego nieznannej podróży;
Ona się cieszyć będzie z Tobą w szczęściu,
Ona Ci będzie oparciem i w burzy.

I kiedy w sercu swem uczujesz próżnię,
Gdy Cię uciecha szumnych zabaw znuży,
To spojrzysz okiem na karty tej pieśni —
Ona i wtedy może Ci posłuży.

Ona Ci wskaże, że siedzibą szczęścia
Nie świat zewnętrzny, świat ten pożąłaczany,
Lecz niepozorne ale szczerozłote
Te domu Twego skromne cztery ściany.

A gdy te ściany uczcisz, jak należy,
I gdy się o nie oprzesz, jak powoje
Się opierają wiernie i z miłością:
„Pieśnią o Domu“ będzie życie Twoje.

JULIUSZ SOKAL.

K r o n i k a.

(Rzadkie poświęcenie z miłości). Przed kilkoma laty odprawił pewien szlachcic w zachodniej Anglii, posiadający znaczne dobra, nagle młodego człowieka, który przez dłuższy czas był u niego ogrodnikiem. Powodem tej odprawy miało być — jak opowiadano — to, że córka szlachcica, piękna i młoda jedynaczka, zajęła się tym młodzieńcem; a wieść ta znachodziła poniekąd potwierdzenie w tem, że panna stanowczo się wzbraniała oddać rękę swoją sąsiadnemu właścicielowi dóbr, któremu ojciec oddawna ją przeznaczył. Ten upór nieprzełamany oburzył jej ojca, Lorda T., do tego stopnia, że postanowił umieścić ją jako pensyonarkę w pewnym klasztorze we Francji na tak długo, dopokąd nie okazałaby się powolniejszą jego życzeniom.

Odjechali tedy do Francji; ale w dniu ich odjazdu znaleziono barona B., tego samego obywatela, któremu panna odmówiła, zamordowanym w lesie w pobliżu jego domu, a niedaleko pałacu Lorda T. Ponieważ zegarek i sakiewka barona nie zostały zrabowane, przeto była rzecz jasna, że morderstwo nie zostało spełnione dla zysku. Nieszczęśliwy otrzymał kilka pchnięć w różne miejsca, a obok niego leżał nóż, którym prawdopodobnie dokonano tej zbrodni. Cała okolica była w ruchu dla wysledzenia mordercy; naznaczono wielkie nagrody za jego wykrycie, i kilka osób popadło w podejrzenie. Ale na nikogo nie było tyle poszlak, co na młodego ogrodnika, i pozorne dowody przeciw niemu były wcale znaczne.

Najprzód należał do niego nóż, który znaleziono przy trupie. On sam nie przeczył tego, ale utrzymywał, że go zgubił na jakiś czas przedtem. Dalej miał on często objawiać bardzo dobitnie swoją niechęć ku zabitemu; nawet tego dnia zrana, nim znaleziono trupa, mówił do sąsiada, stojącego przed drzwiami jego właśnie wtedy, gdy baron B. przejeżdżał na koniu: „Tego nienawidzę z głębi duszy! Jedzie on na zwykłą hulatykę, i drab nie bierze ze sobą nawet służącego, chociaż zawsze tak się ochleje, że potrzebuje kogoś, aby go podtrzymał. I nie dziwiłbym się przeto wcale, gdyby go kiedy spotkało co złego!“

Inny świadek, który dawniej z Williamem — tak się nazywał ogrodnik — służył u barona B., zeznał: że baron uderzył raz Williama, a ten odgrażał się, że kiedyś zemści się na nim za to. Miał on powiedzieć: „Były powody, że nie mógłm zaraz obić barona; ale przyjdzie czas, że mi drogo zapłaci za to!“

Było również dowiedzionem, że wieczór przed popełnieniem morderstwa spotkał William dwóch robotników, którzy właśnie szli na robotę. Spostrzegli oni, że ręka i suknie jego były krwią zmazane; ale on mówił, że mu się puściła krew z nosa. Obadwaj widzieli na jego twarzy ślady wzruszenia i pomieszania, i jeden z nich zapytał go nawet, czy mu się co nie przytrafiło? On odpowiedział sucho: „Nie; cóżby mi się przytrafić miało?“

Gdy opuścił służbę u Lorda T., najął sobie małą chatkę i żył w niej odtąd samotnie. Gdy przyszli służyć sądowi, aby

go aresztować, nie zastano go w łóżku; siedział głęboko zadumany przy stole nie zmieniawszy nawet sukien, na których też znaleziono istotnie ślady krwi, z czego jednak tłumaczył się w taki sam sposób, jak przed robotnikami.

Wszystko tedy zdawało się mówić przeciw niemu, a przecież nie dowierzano temu, i wszyscy obecni przy rozprawie sądowej ubolewali nad nieszczęśliwym młodzieńcem. Twarz jego miała wyraz nadzwyczajnie łagodny i pociągający, i mnóstwo świadków stwierdzało zgodnie jego szlachetność i zacność charakteru; ale nic nie mogło osłabić świadczących przeciw niemu faktów. Pytano go kilkakrotnie, gdzie ową noc przepędził, i mówiono mu, że od tej jednej okoliczności zawisło prawdopodobnie jego uwolnienie lub skazanie; ale na to pytanie nie chciał w żaden sposób odpowiedzieć; i chociaż zapewniał ciągle, że jest niewinny, były przecież dowody przeciw niemu tak silne, że został uznany winnym morderstwa i skazany na śmierć.

Zniósł on jednak okropny swój los ze spokojnością i rezygnacją prawdziwie chrześcijańską, zapewniając do samego ostatka, że nie wie nic o zbrodni, za którą ginie na rusztowaniu.

Jakże okropnem było położenie tego młodego człowieka! Jedno słowo mogło udowodnić jego niewinność i ochronić go od haniebnej śmierci; ale to słowo byłoby oraz splamiło cześć tej, którą kochał nad życie; byłoby ją wystawiło na najgwałtowniejszy gniew srogiego ojca, którego namiętność mogła się posunąć do ostateczności. Te względy więc skłoniły bohater-skiego młodzieńca, zagrzebać na zawsze w piersiach swoich tajemnicę, że ową nieszczęsną noc, w której morderstwo popełnione zostało, przepędził z panną T. w ogrodzie. Lord T. nie był wcale wzorowym ojcem; ze skąpstwa i obojętności dozwalał córce swojej wzrastać bez wszelkiego prawie wykształcenia. Pozostawiona więc sama sobie szła tylko za popędem swoich instynktów, a przytem była z natury bardzo drażliwa. William nie był brzydki, i miał też ogładę większą, niż się zwyczajnie natrafia w tym stanie. Baron zaś B., któremu młoda dziewczyna była przeznaczona, nie miał nic pociągającego, prowadził życie rozpustne, i był o wiele lat starszym od niej; jej wstręt do niego powiększyło uczucie, budzące się w jej sercu dla Williama, i przyszło wreszcie do tego, że ślubowała temuż stanowczo i uroczyście: iż nie zostanie nigdy żoną innego!

Tej nocy, w której baron B. został zamordowany, zezwoliła na schadzki z kochankiem w ogrodzie ojca, do którego William miał klucz; a wiedziała o tem tylko jej służąca, która jej potem towarzyszyła do Francji. Wprawdzie była to schadzka niewinna, poświęcona tylko łzom i westchnieniom z powodu bliskiego rozłączenia; ale nieszczęśliwy William wiedział bardzo dobrze, że świat, a szczególnie ojciec kochanki, zapatrywałiby się na ten wypadek całkiem inaczej. Kochankowie pozostawali razem aż do świtu, a wzruszenie, z jakim William żegnał kochankę przeczuwając, że to pożegnanie na wieki,

było przyczyną puszczenia mu się krwi z nosa, która w podejrzanym sposobie poplamiała jego suknie; i nie też dziwnego, że trwożę, jaka opanowała go przy rozstaniu, uważano za pomieszanie świadomego winy serca.

Uczucia biednej Miss T., gdy się dowiedziała o losie swojego kochanka — za późno, by mogła go ratować — nie dadzą się opisać. Na kilka dni przed otrzymaniem tej wiadomości usunęła nagle śmierć jej ojca jedyną przeszkodę, jaka stała w drodze jej połączeniu z Williamem. Żal jej i smutek były tak wielkie, że popadła w niebezpieczną słabość; ale chociaż była bliską grobu, zajęła się przeciw przedewszystkiem oczyszczeniem pamięci kochanka. Zeznała natychmiast pod przysięgą i kazała spisać to przy świadkach, że William od jedenastej godziny wieczór aż do czwartej zrana, w którym to czasie — jak wykazano — morderstwo popełnione zostało, był razem z nią w ogrodzie. To zeznanie ogłoszono publicznie, i nieszczęśliwy młodzieniec był usprawiedliwiony; chociaż niejedni powątpiewali jeszcze o jego niewinności, ponieważ właściwy morderca nie został jeszcze odkryty.

Dopiero po upływie pięciu lat wyjaśniła się rzecz cała; morderca barona B., zdradziwszy się sam zbyt głośnym monologiem, który podsłuchano, został pojmany, a był nim pewien komisant handlowy z Londynu, któremu uwiódł żonę ów baron. Zeznania jego były całkiem wyraźne: poprzysiągłszy zemstę uwodzicielowi, czatował na niego w lesie, i znalazłszy tam przypadkiem nóż, który istotnie zgubił William, zamordował nim barona. Sąd też bez wahania uznał go winnym i skazał na śmierć.

To odkrycie usunęło już wszelką wątpliwość o niewinności nieszczęśliwego ogrodnika, ale biedna Miss T. już się nie opamiętała. Zdawało się, że przeżyła kochanka na to tylko, ażeby otrzymać to zadośćuczynienie, i w tydzień po straceniu prawdziwego mordercy zakończyła życie. — Czy dziś istnieje jeszcze taka miłość?...

(Jeszcze o świętych sektach amerykańskich). W Oneida-Creek w Ameryce północnej istnieje osobliwsza sekta „świętych“, o której sam założyciel jej i prorok, John H. Naves, podaje w dziele swoim pod tytułem „American Socialismus“ ciekawe szczegóły, przedstawiające zabawny obraz tej mieszaniny świeckiego i duchownego bałamuctwa. Czy p. Naves jest większym fanatykiem czy frantem, trudno powiedzieć; ale na wszelki sposób jest on bardzo dowcipny, jakkolwiek niedorzeczniemi są jego dogmata. Socyalistom kładzie on na rozum, że niczego nie dokażą na świecie, jeżeli teoryom swoim nie dadzą podstawy religijnej, gdyż bez węzła religijnego nie da się żadna społeczność utrzymać. Odpowiednio temu zbudował on sam swoją gminę na podstawie religijnej, ale na wszelki sposób nader szczególnej i przeciwnej zdrowemu rozsądkowi. Jestto niedorzeczna mieszanina biblii i krętej filozofii, która dla swej tajemniczej szaty może podobać się napół dzikim ludziom. Biblię nazywa on „wierzitelnym organem królestwa niebieskiego“, który jednak „musi być wykładany przez bezpośrednie poznanie duchowe“; dalej twierdzi jego nauka, że „Bóg jest istotą dwoistą, ponieważ mężczyzna i kobieta stworzeni są na podobieństwo jego“; że wszelkie ułomności ciała i ducha są skutkiem wpływów szatańskich“, i że nakoniec „ma

wkrótce nastąpić zniesienie śmierci na świecie“. Małżeństwo jest w tej sekcie zniesione, a wspólność żon przedstawia prorok jako uzasadnioną politycznie i biblijnie. — Dodać tu potrzeba, że gmina ta nie liczyła nigdy więcej nad 300 członków; że takie namacalne błżeństwo może zresztą istnieć tylko w Ameryce, ukryte gdzieś w ustroniu, do którego nie dochodzi gwar cywilizacyi; i że nakoniec rozwiązało się już kilka podobnych gmin, nie zostawiając po sobie żadnego śladu.

Podobny los zagraża teraz — jak to już wspominaliśmy — sekcje Mormonów, a głównie podobno przyczyni się do tego płeć piękna. „Dziewczeta mormońskie — jak donoszą dzienniki amerykańskie — są po największej części wstrętne wielożeństwu, i przenoszą często gęsto towarzystwo pogan i grzeszników nad obcowanie „z świętymi dnia ostatecznego“. Nawet Brigham Young musiał dożyć tego, że jedna z jego córek zawiązała stosunek miłosny z jakimś młodym poganinem. Wykradzenie było już umówione; ale miano kochanków na oku i zniweczono plan w chwili wykonania. Dawniej byłby ów młody człowiek niezawodnie przyplacił życiem, ale teraz nie mają już Mormoni odwagi uczynić coś podobnego; mimo to uważał bohater romansu za rzecz najlepszą, schronić się do San Francisco. Młode Mormonki, oburzone poniżającym położeniem, w jakim znajduje się ich płeć pomiędzy świętymi, i zatworzone smutną przyszłością, jaka ich czeka, zawiązały tajemne stowarzyszenie, ażeby się wzajemnie wspierać, zbierać na ten cel pieniądze i t. p. Tajemne stowarzyszenie młodych dziewcząt! A przecież jestto naturalny skutek moralnych i społecznych stosunków tej ludności. Niewieścia cnota i niewieścia godność muszą zaginać przy wielożeństwie, i łatwo pojąć przeto, że gdzie fanatyzm religijny nie wziął jeszcze góry, i gdzie niewinność i uczucie własnej godności nie są jeszcze zniszczone, muszą one oburzać się przeciw barbarzyńskiemu zwyczajowi, który jest zniewagą religii, moralności i cywilizacyi.“

(Sardou). Wiktor Sardou stał się od czasu napisania sztuki „Fernande“ bohaterem dnia w Paryżu. W „Figarze“ poświęca Adrien Marx jego przeszłości bardzo sympatyczny artykuł, z którego przytaczamy kilka ciekawszych ustępów. Przed kilkoma laty był Wiktor Sardou jeszcze biedakiem, mieszkał na poddaszu i często gęsto szedł spać o głodzie. Dziś jest właścicielem ozdobionego sztuką i zbytkiem domu przy ulicy Lafitte i panem pięknej włości Marly pod Paryżem. Ale wygląda on jeszcze zupełnie tak, jak wówczas, gdy dla uniknienia śmierci głodowej dawał lekcye synowi jakiegoś Beja; jego koścista, wypłowiała twarz, jego długie czarne włosy, jego zgarbiona chuda postać — nie zmieniły się wcale. Co go podtrzymywało w największym jego niedostatku, co go uczyniło tem, czem jest dzisiaj, — była to jego żelazna wola, jego zaufanie w siebie. „Byłem tak pewny, że osiągnę cel, który sobie zatknąłem — są to jego własne słowa — wierzyłem tak silnie w swoją przyszłość, że wieczorem wróciwszy do domu, jak to często się zdarzało bez wieczerzy, myślałem rad i z największą powagą o zamku, który każę sobie zbudować zostawszy milionerem, i że brałem ołówki i papier, by kreslić plan biblioteki, którą teraz nazywam moją.“ Często też targował on w tym peryodzie u handlarzy osobliwości i starożytności najkoszto-

wniejsze rzeczy, odkładając zawsze kupno na czas nieoznaczony temi słowy: „Gdy będę kiedyś bogatym, kupię to.“ Tak wisi teraz w jego domu obraz Bernarda Palissy, który u antykwarjusza czekał dziesięć lat na niego.

Kobiety odgrywały w życiu Wiktora Sardou bardzo wielką rolę. Musiał on zawsze, chcąc użyć życia, mieć przy boku reprezentantkę pięknego, gładkiego rodu węzowego. W czasie ubóstwa kochał się w bardzo pięknej dziewczynie, która cały jego zarobek trwonila na utrzymanie swojego pięknego ciała i na stroje. Ale pewnego poranku znikła, zostawiając mu długu 10.000 franków. Przez długi czas musiał Sardou poświęcać znaczną część swego szczupłego dochodu miesięcznego, by się wyzwolić z rąk lichwiarzy. Później zawiązał stosunek miłośny z szczególniejszą istotą. Podobnie jak on lubiła ona drwić z biedy i pokonywać wszelki niedostatek pracą i wesołością. Co więcej, potrzebowała nawet do szczęścia trosk i walki z losem. Pewnego dnia stanął przed nią Sardou opromieniony radością, rzucił garść złota na stół i zawołał: „Wygraliśmy! Moją sztukę przyjęto w Odeonie. Teraz już koniec biedzie, i nastaną dni spokojne. O jakże się cieszę, że moje szczęście będę dzielić z tobą!“ Ale kochanka zasępiła czoło i rzekła pogardliwym tonem: A więc na przyszłość mamy być majętni? I żadnych trosk, żadnych cierpień więcej? Codziennie najeść się do sytu? Dziękuję! Ja tak żyć nie mogę!“ I zabrawszy swój węzelek pożegnała zdumionego kohanka i nie wróciła więcej.

Podług własnego wyznania starał się Sardou korzystać w swoich dramatach z własnych doświadczeń na polu miłości, a nawet wywoływał umyślnie sceny tragiczne i efekta w swoich miłośkach, ażeby obrabiać je poetycznie, chociaż nieraz bardzo drogo je opłacał.

(Automat grający w szachy). W pałacu krzyształowym w Sydenham znajduje się od jakiegoś czasu szczególna osobliwość, automat grający w szachy, i to w postaci Turka w naturalnej wielkości. Drewniana szachownica średniej wielkości umieszczona jest na drewnianym słupku nad pudłem, na którym spoczywają założone na krzyż nogi Turka. Figury są wszystkie jednakowej wysokości i tak zrobione, że automat może chwycić je wygodnie. Porusza on prawą ręką, głową i całą górną częścią ciała wedle potrzeby, a w lewej ręce trzyma kręcony cybuch od fajki. Robiąc pociągnięcie bierze figurę trzema palcami, wielkim, wskazującym i średnim, i stawia na odpowiednim polu, przychylając przytem głowę. Gdy chce bić figurę, bierze ją wprzód i stawia obok szachownicy, a potem umieszcza swoją figurę tam, gdzie stała zabrana figura przeciwnika; gdy daje „szach“, kiwa przy pociągnięciu głową; dając „matt“ wskazuje palcem zamatowanego króla, a gdy daje partję za wygraną, kładzie swojego króla obok szachownicy. Gdy grający przeciwnik zrobi pociągnięcie niemożliwe, stawia pociągniętą figurę na dawne miejsce; a jeżeli tenże żartem ponawia fałszywe pociągnięcia, przewraca wszystkie figury. Gra po największej części bardzo szybko i dość dobrze; jeżeli przeciwnik suwa zbyt powoli, wstrząsa niecierpliwie głową. Maszyna stoi wolno w środku sali i ma tylko jednego dozorcę, który stoi oddalony od niej o kilka stóp. Przed każdą partją nakręca dozorca kluczem maszynę i otwiera cztery drzwi, aby

pokazać wewnętrzny przyrząd, gdzie widać mnóstwo kół i sznurów. Drzwi znajdują się z przodu i z tyłu skrzyni, tudzież na pierśiach i na plecach Turka. Na żądanie gości wykonuje automat z zadziwiającą szybkością i zręcznością skoki konika przez wszystkie 64 pól, przyczem dozorca oznacza marką każde poruszone pole. Widz może postawić konika na którembądź polu, demoniczna ręka wykonuje najdalej w dwóch minutach wszystkie skoki! Oprócz tego gotów jest Turek grać z każdym gościem, ale objawia przytem charakter wcale nie szlachetny: jako zwycięzca odmawia odwetu, jako zwyciężony nie żąda go; słowem gra z każdym tylko jedną partję. Rzecz naturalna, że pod tajemnicą, na której polega automat, ukrywa się wiele humbugu, ale na wszelki sposób jest dzieło podziwienia godne; mechanizm jest tak cudowny i sztuczny, poruszenia ręki tak piękne, że potrzeba istotnie zdumiewać się nad potęgą ducha ludzkiego, który utworzył tę maszynę i pewnie długie lata pracował nad jej urządzeniem.

(Działalność serca). Nie można prawie brać za złe poetom, jeżeli czasem umiejętność przyrodniczą nazywają nieprzyjaciółką poezji. Istotnie patrzy ta nowożytna muza na świat całkiem trzeźwymi oczyma, i nie wzdryga się z zimną krwią wydobywać na jaw i suchą analizą profanować wszystkiego, co dotąd tkliwe dusze za mistyczną zasłoną ciemnego przecucia uważały za najwznioślejsze. Tak n. p. w najnowszym czasie skusiła ona jednego ze swoich wielbicieli do tego, żeby przypatrzył się sercu, temu drgającemu, we wszystkich temperaturach działającemu ognisku naszego ziemskiego „ja“, tej ostatniej instancji człowieka — z innej jeszcze strony, niż to czyniły od wieków czulsze istoty. Mianowicie obliczył pewien uczony Anglik, profesor Haugston w Londynie, że dwanaście tuzinów serc, uważane po prostu jako pumpy krwiste, prawie tyleż działają, co jeden mocny koń. Jakież to poziome porównanie! Ależ poznajmy bliżej wywody szanownego fizyologa, a może który z młodych liryków naszych zechce korzystać z odkrycia naukowego, by z tym większym naciskiem śpiewać kochance o swoim sercu.

Profesor Haugston doszedł mianowicie w swoich badaniach do następujących pewników: 1) Za każdym uderzeniem serca wybuchają z każdej komórki sercowej naraz trzy uncyce krwi. 2) Ciśnienie, jakie wywiera lewa komórka sercowa i główny prąd wszystkich żył krwistych, odpowiada słupowi krwi wysokości do 10 stóp. 3) Siła muszkułarna lewej komórki sercowej, która się przy ściąganiu objawia, ma się do siły muszkułarnej prawej komórki sercowej jak 15 do 5.

Oparte na tych danych obliczenia okazały przeto, że całodzienna działalność, serca w przecięciu równa się pracy, za pomocą której można w przeciągu 24 godzin podnieść 2780 cetnarów albo w sekundzie $3\frac{1}{2}$ funta na wysokość jednej stopy, i że przeto istotnie dwanaście tuzinów serc działa mniej więcej tyle, co jednokonna maszyna parowa.

(Kobieta powinna pilnować domu). Na zgromadzeniu kościelnym w Dublinie, gdzie głównie obradowano nad tem, czy kobietom ma być przyznany głos w sprawach parafialnych, wywiązała się niedawno następująca ciekawa debata.

— Ja — tak kończył sprawozdawca, ksiądz — głosuję za tem, ażeby matkom rodziny przyznać prawo głosowania.

— Ale ja dziękuję za to, osobliwie co do matki moich dzieci — ozwał się pewien mowca. — Moja żona ma w domu dość do czynienia, i nie potrzebuje biegać na każdy synod, na każde zgromadzenie kościelne. Toby była piękna historia — mówił dalej — gdy powracam wieczorem znużony całodzienną pracą do domu, a sługa otwierający oznajmia mi, że pani poszła na zgromadzenie przygotowawcze, bo pojutrze ma być synod. A gdzie są moje córki? pytam. „Panny są od trzech godzin na zgromadzeniu parafialnem“. Mrużąc wchodzę do

pokoju i każę służącemu przyrządzić mój obiad. „To być nie może“, odpowiada tenże, bo kucharka poszła z pannami, a pani kazała pana prosić, ażebyś pan zjadł dziś obiad w klubie“. Nie, moi panowie, ja wolę stanowczo, ażeby moja żona pozostała przy igle i ognisku.

Huczny śmiech towarzyszył tej mowie, po której nastąpiła dość zacięta debata. A gdy potem przyszło do głosowania, odrzucono 158 głosami przeciw 108 wniosków o przyznanie kobietom głosu w sprawach kościelnych. Ileż to razy utykać będzie jeszcze na tym punkcie teorya emancypacyi kobiet!

HUMORESKA.



- Kumie! — ten Moszko przecież głupi —
- Dla czego?
- Siedzi przy wódce i nie pije.
- Ot prawda.

Fraszki.

Pewna znakomita artystka dramatyczna w Paryżu otrzymała niedawno od młodego autora rękopis z tytułem: „Wierzba“. Pismo załączone do przesyłki zawierało tylko te słowa: „Jeżeli, szanowna pani, nie podoba Ci się moja sztuka, to racz ją spalić.“ Dowcipna artystka, przeglądając lichą ramotę, odesłała niezwłocznie pakiet z temi słowy: „Ja palę, szanowny panie, tylko drzewem bukowem.“

Pewien zarozumiały pułkownik użalał się w towarzystwie, że dla nieudolności swoich oficerów musi sam załatwiać całą służbę pułkową. „Jestem moim własnym majorem — mówił — moim własnym kapitanem, moim własnym porucznikiem, moim własnym chorążym, moim własnym sierżantem i —“ „Własnym trębaczem swoim“ — dodała jedna z obecnych dam.